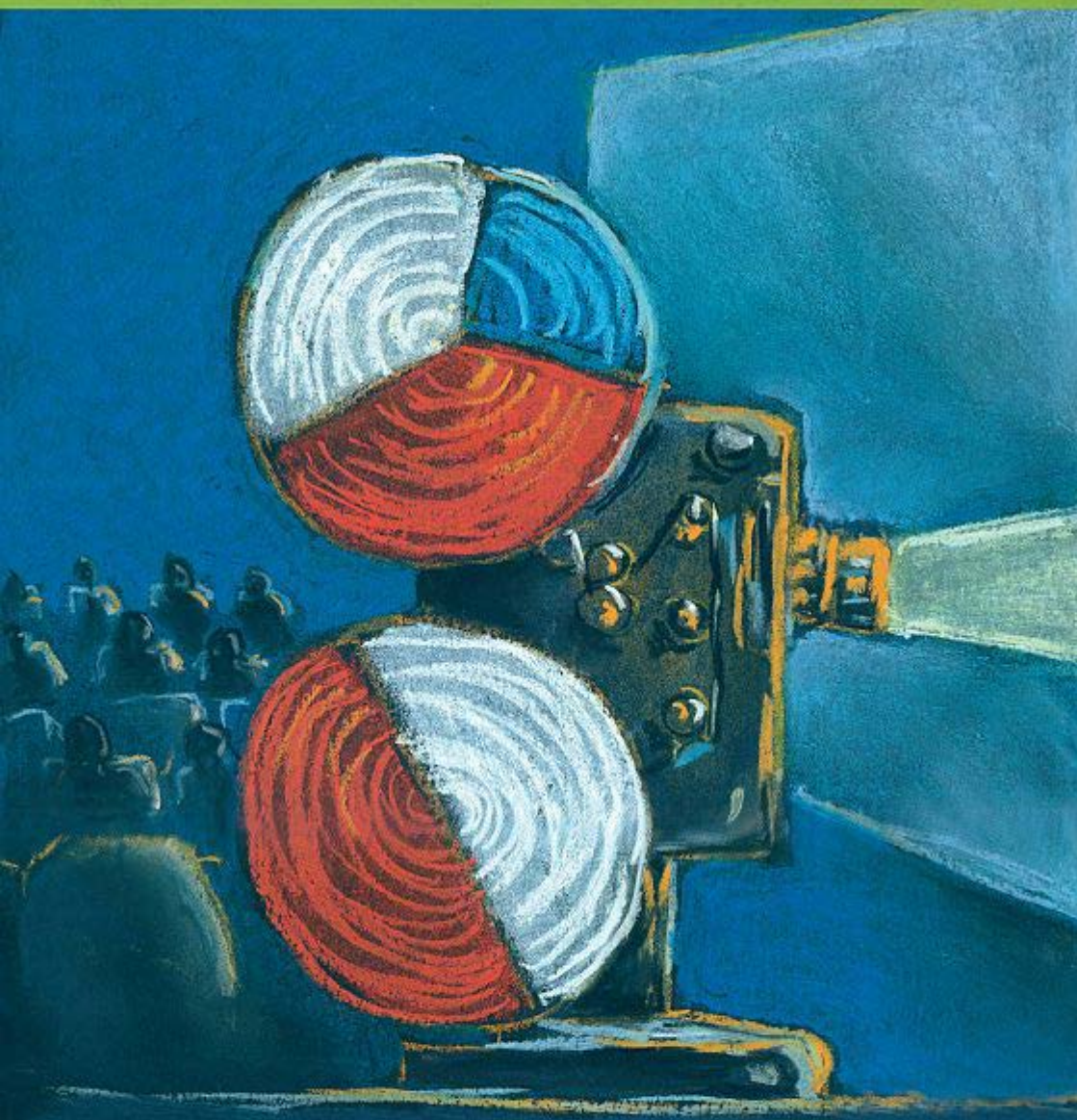




CZULI BARBARZYŃCY 2016  
FESTIWAL KULTURY CZESKIEJ



# **Czuli barbarzyńcy 2016**

Festiwal Kultury Czeskiej

pod redakcją  
Doroty Siwor i Jerzego Marka

Stowarzyszenie  
„Czuli barbarzyńcy – Razem dla Europy Środkowej”  
Bielsko-Biała 2016

Publikacja jest zapisem spotkań, które odbyły się w ramach Festiwalu Kultury Czeskiej „Czuli barbarzyńcy 2016” organizowanego przez Stowarzyszenie „Czuli barbarzyńcy – Razem dla Europy Środkowej”.

Projekt współfinansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.

Redakcja: dr Dorota Siwor  
Jerzy Marek

Redaktor techniczny: Jarosław Zięba

Projekt okładki: Paweł Sepielak

Skład komputerowy: IDS Jarosław Zięba

Strona internetowa: [www.czulibarbarzyncy.net.pl](http://www.czulibarbarzyncy.net.pl)

Publikacja stanowi jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.

Publikacja „Czuli barbarzyńcy 2016. Festiwal Kultury Czeskiej” jest dostępna na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Stowarzyszenia Czuli barbarzyńcy – Razem dla Europy Środkowej. Utwór powstał w ramach konkursu *Forum Polsko-Czeskie na rzecz zbliżania społeczeństw, pogłębionej współpracy i dobrego sąsiedztwa 2016*. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o konkursie *Forum Polsko-Czeskie na rzecz zbliżania społeczeństw, pogłębionej współpracy i dobrego sąsiedztwa 2016*.

ISBN: 978-83-946772-1-3

Wydawca: Stowarzyszenie „Czuli barbarzyńcy – Razem dla Europy Środkowej”  
ul. Legionów 25  
43-300 Bielsko-Biała  
[www.czulibarbarzyncy.net.pl](http://www.czulibarbarzyncy.net.pl)

## Spis treści

### ● Literatura: przeploty, przenikania...

#### Żyjąc wielokrotnie

##### – opowieści biografy Hrabala, Havla i...?

Spotkanie z Aleksandrem Kaczorowskim ..... 7

#### Małe i wielkie historie kobiet w Czechach

Spotkanie z Mariuszem Suroszem ..... 31

#### Plastikowe M3, czyli czeska pornografia

Spotkanie z Petřą Hůlovą ..... 47

#### O trudnej pamięci, Żydach, Czechach, Niemcach i Polakach

Spotkanie z Radką Denemarkovą ..... 59

### ● Historia, polityka, społeczeństwo

#### Pomiędzy nami. Polacy i Czesi w wieku XX i współcześnie

Spotkanie z Miroslavem Karasem ..... 75

### ● Muzyka

#### Polskie ślady w czeskiej piosence

##### – gawęda w formie audycji radiowej

spotkanie z Teresą Drozdą ..... 89



## Żyjąc wielokrotnie – opowieści biografy Hrabala, Havla i...?

Z Aleksandrem Kaczorowskim  
rozmawiają Dorota Siwor i Jerzy Marek



### **Dorota Siwor:**

W 2002 roku opublikowałeś *Grę w życie. Opowieść o Bohumilu Hrabalu*. Dlaczego postanowiłeś jeszcze raz zająć się życiem tego pisarza?

### **Aleksander Kaczorowski:**

Zawsze interesowali mnie najważniejsi pisarze czescy, węzłowe postaci, w których życiorysach i twórczości splatają się wszystkie najistotniejsze motywy, które pozwalają poznać i zrozumieć niezwykle ciekawą historię Czech w XX wieku. Hrabal, Havel i jeszcze paru innych twórców są po prostu dobrymi kluczami. Biografia Havla była dla mnie sposobem napisania historii politycznej Czech, biografia Hrabala – napisania historii estetycznej, historii kultury w Czechach. Teraz piszę trzecią biografię i to też będzie historia Czech. Będą to Czechy żydowskie, a bohaterem będzie Ota Pavel.

*Grę w życie* pisałem czternaście lat temu i wiele się przez ten czas zmieniło. Pojawił się pomysł, żeby wznowić biografię Hrabala i miałem z tym podobny problem, jak z *Praskim elementarzem*, którego drugie wydanie jest właściwie nową, dużo obszerniejszą książką. Kiedy zacząłem się zastanawiać, co w niej poprawić i co uzupełnić doszedłem do wniosku, że powinienem ją napisać na nowo. Zmiany są tak istotne, że nie można mówić o wznowieniu.

Na czym polega zasadnicza różnica między *Grę w życie* a *Słodką apokalipsą*? Otóż *Grę w życie* pisałem jako młody człowiek i było to swego rodzaju podsumowanie mojej dziesięcioletniej przygody z tym pisarzem. Wtedy fascynowała mnie jedna rzecz: jak to się stało, że pojawił się ktoś tak niezwykły. Z czego ten fenomen wypłynął, skąd się wziął ten niesamowity fajerwerk prozy Hrabala, ale też życia Hrabala. Bo on nie tylko pisał wspaniałe książki, jego życiorys sam w sobie jest genialną opowieścią. I ta książka w gruncie rzeczy była próbą docieczenia i rozwikłania zagadki: skąd się ten artysta wziął, jakie były jego losy, w jakich czasach żył, wśród jakich ludzi się obracał, gdzie mieszkał i w jakiej mierze wpłynęło to na ukształtowanie jego poetyki. Koncentrowałem się wówczas na tym, jak Hrabal staje się pisarzem. W związku z tym okres po jego debiucie (co prawda późnym, bo debiutował w pięćdziesiątym roku życia) interesował mnie znacznie mniej. Było to też widoczne w proporcjach tej książki, która mówi o tym, jak Hrabal został pisarzem, ale nie jakim był pisarzem.

Nie ukrywam, że napisanie obszernej biografii Havla uświadomiło mi, że muszę wrócić do Hrabala i spróbować napisać o nim jeszcze raz, to znaczy stworzyć kompletny portret. Prześledzić całą bibliografię i całą biografię, pokazać go na nowo, ale i nowym czytelnikom. Chciałem napisać tak, aby moja książka była ciekawa także dla kogoś, kto w ogóle nie czytał Hrabala i może nawet po niego nie sięgnie (choć w to raczej wątpię). Ale moim celem utylitarnym było też zachęcić do lektury Hrabala, do powrotów do tego pisarza.

Pisanie dało mi dużo przyjemności. Znów mogłem długie miesiące spędzać z ulubionym pisarzem, przebijać się przez jego 19 tomów, co zawsze jest niezwykłym doświadczeniem, bo przecież za każdym razem inaczej się go czyta. Niedawno z czeskim literaturoznawcą Jakubem Češką rozmawialiśmy o czytaniu Hrabala i doszliśmy do wniosku, że nie można napisać kompletnej monografii tego pisarza, rozstrzygającej wszystko interpretacji

jego twórczości. Każda kolejna lektura tego dzieła, inny kontekst sprawiają, że znajduje się tam nowe rzeczy, stosunek czytelnika do tych tekstów zmienia się.

#### **DS:**

W tym momencie pięknie potwierdziłeś tytuł naszego spotkania: *Żyjąc wielokrotnie...* Mamy do czynienia z biografią wielokrotną i wielokrotną lekturą tego samego tekstu. To jest lektura, która się nigdy nie kończy, nie jest zamknięta.

#### **AK:**

Tak. Pamiętam, że kiedy poznawałem twórczość Hrabala – w wieku lat dziewiętnastu czy dwudziestu, w czasie przechodzenia od komunizmu do nowej rzeczywistości, kiedy Hrabal świetnie funkcjonował w pierwszym i drugim obiegu, miał swoich czytelników już od trzydziestu lat – w tekstach krytycznych, interpretacyjnych podkreślano głównie czeskie podglebie jego twórczości. A dla mnie odkryciem – i mam nadzieję, że to w książce widać – było to, jak wielką rolę odegrały tu jednak inne inspiracje. Że on był nie tylko ze Szwejką, ale i z dadaizmem i z surrealizmem (zresztą są to zjawiska równoległe). Hrabal był doskonale zakotwiczony nie tylko w rodzimej tradycji czeskiej, ale i w europejskiej. Głównie zresztą dlatego, że ta czeska kultura co najmniej do 1945 roku była po prostu częścią kultury zachodniej.

Później przez kilkanaście lat stalinizmu komuniści starali się wyrwać Czechów z kręgu kultury zachodnioeuropejskiej i wysłać na stepy. Lata te były straszną katastrofą i dla osobistych losów ludzi, i dla funkcjonowania kultury w Czechosłowacji, ale kiedy nastąpiła Praska Wiosna, fascynacja Zachodem powróciła ze wzmożoną siłą. I to jest ten niezwykły fenomen czeskiej kultury lat 60., tego krótkiego okresu (1963-1969), do którego ciągle wracamy, również podczas naszych spotkań. Ten czas także ukształtował Hrabala, który był jednym ze sprawców tej wiosny kulturalnej.

**Jerzy Marek:**

Chciałbym wrócić do tej dwoistości Hrabala. Książka w pierwotnej wersji ma inny tytuł. Czy ten oksymoron *Słodka apokalipsa* miał w jakiś sposób scharakteryzować Hrabala?

**AK:**

Twórczość Hrabala oparta jest na poetyce kontrastu. Fenomen tego pisarstwa jak sądzę polega na tym, że on opisuje właściwie wyłącznie katastrofy, tragedie, nieszczęścia. Nieszczęście może polegać na tym, że tramwaj wjechał do knajpy, albo na tym, że wybuchła wojna, ale on zawsze ten kataklizm opisuje pięknie. Nawet w najstraszniejszych wydarzeniach jest w stanie odnaleźć jakiś element estetyczny. To jest sfera poza dobrem i złem. *Jiří Menzel* opowiadał mi kiedyś, jak to krytycy nic nie rozumieją, bo kiedy w 1965 roku kręcił *Pociągi pod specjalnym nadzorem*, jakiś dziennikarz zapytał go, dlaczego kręci film o wojnie. A Menzel odpowiedział, że bardzo lubi lokomotywy, białe rękawiczki maszynistów itd. Zrobił się z tego skandal, bo o wojnie w taki sposób raczej się nie opowiada. Menzel jest przybrany synem Hrabala. Oni mieli według mnie identyczny stosunek do rzeczywistości i do estetyki.

**DS:**

Ta anegdota przypomina przypadki z życia samego Hrabala, jemu się też co chwilę coś takiego przytrafiało.

**AK:**

Tak. On nie postrzegał i nie opisywał rzeczywistości w kategoriach etycznych, a tym bardziej ideologicznych. On przeżywał świat wokół siebie jako nieustające widowisko, jako cud, który się „zdarza każdego dnia”. Mogłoby przecież nie być nic. Hrabal często zadawał sobie pytanie Leibniza: dlaczego istnieje raczej coś, niż nic? Przecież to jest jakiś cud, że istniejemy, że

jesteśmy tacy różni, że nie wiemy, co się za chwilę wydarzy, wszystko to jest po prostu piękne. Hrabal w ten sposób świat przeżywał i w ten sposób chciał mu dawać wyraz. Jest oczywiście pisarzem, który dał świadectwo, opisał wszystkie okropności XX wieku, ale zrobił to zupełnie inaczej, niż pozostali twórcy. Na tym polega jego oryginalność.



Aleksander Kaczorowski podczas spotkania

Foto: Jaroslav Zięba

Jeśli go porównamy z Milanem Kunderą, którego też uwielbiam, zobaczymy, że jest on zupełnie innym pisarzem. U niego wszystko jest przepuszczone przez filtr rozumu, racjonalne, wyrozumowane, domyślone do końca. Tam czytelnik ma bardzo mały margines swobody, nie musi już nic robić, tylko czytać i się zachwycać. Kundera wszystko kontroluje, panuje w pełni nad tekstem i nad przekazem. Wie, co chce powiedzieć i konsekwentnie to robi.

Hrabal eksploduje obrazami, jak w kalejdoskopie, i czytelnik może z tym robić, co mu się podoba. Nie chce nad tym panować, nie narzuca żadnej interpretacji swoich książek. On się nigdy z nikim nie spierał, nie tłumaczył, o co mu chodziło. Tłumaczom nigdy nie objaśniał, co znaczą słowa, których nie ma w żadnych słownikach. Odpowiadał, że sam nie wie. Używał słów ze względu na ich wartość estetyczną, nie przywiązywał wagi do faktów. Znakomity tłumacz Piotr Godlewski opatrywał swoje tłumaczenia notami, gdzie nawet czasem prostował jakieś pomyłki Hrabala

Niewielu było artystów tak wolnych wewnętrznie jak Hrabal.

**DS:**

Ale w życiu tak wolny się nie czuł, był wolny, kiedy pisał. Zwróćmy uwagę, że Hrabal to z jednej strony filozof, człowiek wykształcony, z drugiej kolejarz czy pracownik składu makulatury.

**AK:**

Żył wielokrotnie.

**JM:**

Wywodziś to w jakiejś mierze z jego rodzinnej tradycji. Hrabal z jednej strony miał plebejskiego stryja Pepina, z drugiej należącego do kulturalnej elity wuja Kiliana.

**AK:**

Tak. Ale myślę, że obie te postaci są pewnego rodzaju mistyfikacją. Hrabal ich sobie tak wymyślił, jako pewne fenomeny literackie. Stryja Pepina przede wszystkim, bo wuj Bohuslav był głęboko ukryty, Hrabal niewiele o nim napisał. Pewnie nie był mu do niczego potrzebny, a nawet w jakiejś mierze szkodliwy – mógłby mu psuć mit.

Hrabal żył wielokrotnie, miał kilka kompletnie do siebie nieprzystających życiorysów. Wynikało to trochę z natury czasów, w których żył. Po komunistycznym puczu w lutym 1948 roku, podobnie jak to się działo w Związku Radzieckim czy w Chinach, ludzi wykształconych, jako niepewnych ideologicznie, często kierowano do pracy fizycznej, aby ich przez tę pracę reedukować. A nowe kadry intelektualne nowego, socjalistycznego społeczeństwa rekrutowano spośród robotników i chłopów.

Jednak niezupełnie się to udało, w przeciwieństwie do Polski. W Czechosłowacji, kraju bardzo uprzemysłowionym, już przed

wojną istniała bardzo silna klasa robotnicza, często byli to robotnicy już w drugim lub trzecim pokoleniu. Nie chcieli być kimś innym. Mimo że to pochodzenie dawało swobodny wstęp na uniwersytety, rodzice tam dzieci nie posyłali, byli przyzwyczajeni do swojego robociarskiego etosu. I między innymi dlatego w latach 60. znów umożliwiono edukację ludziom, o których wcześniej mówiono, że powinni się znaleźć na śmietniku historii. To jest na przykład przypadek Havla, który początkowo, jako dziecko burżuazji, nie miał żadnych możliwości kształcenia. Po ukończeniu obowiązkowej edukacji podstawowej w wieku lat piętnastu został pomocnikiem cieśli.

**DS:**

Dodajmy, że pochodził z zamożnej i wykształconej rodziny.

**AK:**

Pochodził z jednej z najbardziej zamożnych rodzin międzywojennych Czech. Było oczywiste, że ktoś taki w komunistycznym społeczeństwie nie ma żadnych szans na karierę. Ale jego matka zrobiła wszystko, aby pomimo tych okoliczności jej synowie zyskali wykształcenie, na przykład jako poliglotka uczyła ich języków (angielskiego, niemieckiego, rosyjskiego). Kiedy dowiedziała się, że jej piętnastoletni wychuchany, wypielegnowany *Vašek* ma zostać pomocnikiem cieśli i chodzić po rusztowaniach, natychmiast postanowiła interweniować. Nawiasem mówiąc Havel jako szesnastolatek poznał korespondencyjnie swojego rówieśnika, poetę *Jiřego Kuběňę* z Brna. I kiedy *Kuběňa* przyjechał do Pragi, postanowił odwiedzić przyjaciela. W południe zadzwonił do drzwi kamienicy nad Wełtawą, przy moście Jiráská, wszedł na górę, a matka Havla powiedziała, że *Vašek* jeszcze śpi. W południe! Wszedł do pokoju i zobaczył, że chłopak, z którym pisywał o Kafce, egzystencjalizmie czy surrealizmie nie wygląda wcale jak demiurg, przypomina raczej bobasa z książką.

Havel jako robotnik mógł pójść do gimnazjum wieczorowego. Paradoks polegał na tym, że w Pradze do szkół założonych w celu dokształcania robotników chodziły głównie dzieci przedwojennych elit, ambasadorów, burżujów. Havel kształcił się sam, ale było mu o tyle łatwo, że jego rodzice znali wszystkich. Na przykład filozofii prywatnie uczył go były rektor uniwersytetu w Ołomuńcu, Josef Ludvík Fischer, ojciec poetki Violi Fischerovej, skądinąd późniejszej kochanki Hrabala. Później, co załatwiła matka, został laborantem u wybitnego naukowca, pracownika uniwersytetu i wynalazcy soczewek Ottona Wichterle. W końcu po wielu wcześniejszych odmowach państwo socjalistyczne doszło do wniosku, że potrzebuje kadr technicznych, więc przyjęto go na politechnikę, na wydział ekonomii transportu. W ten sposób zyskał czas na robienie tego, co go naprawdę interesowało – czytanie książek i spotkanie się z ciekawymi ludźmi.



Uczestnicy spotkania z A. Kaczorowskim

Inaczej było z Hrabalem, który urodził się w 1914 roku, jeszcze za cesarza Franciszka Józefa I. Do szkoły chodził w demokratycznej Czechosłowacji, otwartej na świat. Pochodził z dosyć zamożnej rodziny, jego ojczym był dyrektorem browaru. Było naturalne, że syn, Bohumil, pójdzie na studia, z tym, że jego właściwie nic nie interesowało. W szkole przyjaźnił się raczej z łobuzami, dwa razy nie

zdał do następnej klasy, wyrzucano go ze szkół, był krótko mówiąc trudnym dzieckiem. Odnalazł się mniej więcej w osiemnastym roku życia, kiedy rodzice postanowili wysłać go na studia prawnicze. Musiał sam nadrobić kurs języka łacińskiego i prawdopodobnie to sprawiło, że wciągnął się w lekturę, sięgnął po książki. Na studiach zaliczał kolejne lata, ale przede wszystkim wpadł w świat literatury, wystaw, antykwariatów – to jest najlepsze, co się może człowiekowi zdarzyć. Kultura jest alternatywną rzeczywistością, jest jak matrix, w którym jest lepiej, niż w rzeczywistości. Hrabal tam wpadł i już nie wyszedł.

Na szczęście nigdy nie mógł pracować w wyuczonym zawodzie, bo najpierw przyszli Niemcy, a później komuniści. Najpierw był Słowianinem przeznaczonym do pracy na kolei, później burżujem przeznaczonym do pracy w hucie. To pozwoliło mu uniknąć życia, jakie zaplanowali dla niego rodzice. Hrabal miał świadomość, że dzięki tym potwornym kataklizmom może żyć po swojemu. I trzeba przyznać, że z wielką pogodą ducha i stoicyzmem znosił ten swój los. Znakomicie odnalazł się w robociarskim życiu, był z natury beatnikiem, gdyby nie okoliczności, pewnie sam szukałby życia na peryferiach czy wręcz na marginesie.

Libeň, gdzie Hrabal zamieszkał, niegdyś dzielnica żydowska, po wojnie stała się dzielnicą cygańsko-robotniczą. Było nie do pomyślenia, żeby jego żona, pracująca jako kasjerka, sama wracała z pracy do domu, bo po drodze mogło się zdarzyć wszystko. Raz tak się zresztą zdarzyło i Eliškę zaatakował jakiś ekshibicjonista. To była „dzielnica cudów”. A on te miejsca opisuje tak, jakby to był magiczny świat.

## DS:

Chyba nie tylko opisuje. Mam wrażenie, że on to tak widział.



**AK:**

Oczywiście, on to tak przeżywał, doskonale się tam czuł. Trochę mówią o tym niektóre genialne tytuły, które go charakteryzują, na przykład *Dandys w drelichu*. Miał naturę dandysa, który znajdował upodobanie jeśli nie w kloszardowaniu, to w proletaryzowaniu się. Jego najbliższy przyjaciel, Karel Marysko, jakoś sobie z systemem poradził – został wiolonczelistą w orkiestrze Teatru Narodowego w Pradze, jeździł po świecie. Gdyby Hrabal chciał funkcjonować jako redaktor czy dziennikarz, mógłby to zrobić. Jednak wybrał inaczej.

Dlaczego odrzucił to oficjalne życie? To nie tylko kwestia upodobania do kloszardowania, myślę, że przede wszystkim chodziło o to, że on był – to się rzadko zdarza, to jest może trochę nieszczęście, ale bez tego nie ma wielkiej literatury – organicznie niezdolny do pisania kłamstw. Do pisania czegokolwiek, co nie emanuje z niego. Nie ma takich tekstów w jego twórczości.

Można tu podać tytułem dygresji przykład Panufnika czy Miłosza, którzy wybrali emigrację właśnie dlatego, że nie wyobrażali sobie, że ktoś miałby ich zmuszać do tworzenia wbrew sobie. Musiałoby się to skończyć samobójstwem.

Hrabal od dwudziestego do pięćdziesiątego roku życia każdą wolną chwilę poświęcał na pisanie. Kiedy wreszcie mógł zadebiutować, zaczął wydawać mnóstwo książek – jego szuflady były pełne. Jako człowiek świadomy znał wartość swojej twórczości, wiedział, że zasługuje na publikację. W latach 60. przyszła wreszcie wielka popularność, niestety, trwała bardzo krótko. Po 1969 roku znowu, jak Kundera, Havel i dziesiątki innych staje się pisarzem politycznie niewygodnym, znów nie może publikować. Całe praktycznie lata 70. Bohumil Hrabal jest nieobecny w oficjalnym życiu literackim, żyje z zagranicznych przekładów swoich książek. Dzielnie to znosi, jest twardym facetem. Dożył zresztą pięknego wieku i pewnie żyłby dłużej, gdyby nie skoczył z okna. Był wtedy w pełni sił twórczych i właśnie w tym najgorszym dla siebie i dla

czeskiej kultury okresie napisał kilka najważniejszych książek, do których będzie się zawsze wracać. Myślę o takich utworach jak *Obsługiwałem angielskiego króla*, *Zbyt głośna samotność*, myślę o *Postrzyżynach* i całym cyklu nymburskim czy o *Czującym barbarzyńcy*.

**DS:**

Mówisz, że Hrabal był człowiekiem bardzo odpornym. Owszem, ale myślę, że potrzeba porozumienia z czytelnikiem, docierania do czytelnika była u niego bardzo silna, co skutkowało pewnymi wyborami po 1969 roku.

**AK:**

On miał kompleks chłopaka z małego miasteczka. Było mu dość obojętne, kiedy jego książki wychodziły zagranicą. Naprawdę zależało mu na tym, żeby być obecnym wśród swoich czytelników. Chciał, żeby jego książki leżały na wystawie w księgarni w Nymburku, żeby wszystkie dziewczyny, które się nim nie interesowały zobaczyły, że on do czegoś doszedł.

A trzeba powiedzieć, że był człowiekiem kochliwym. W samym Nymburku było co najmniej kilka kobiet, które pewnie później z mieszanymi uczuciami zerkały na te witryny księgarskie.

**JM:**

À propos. Czy pracując nad biografią Hrabala dotarłeś do jakichś faktów, które okazały się na tyle – nie wiem, jak powiedzieć – niewygodne, zbyt intymne, że postanowiłeś ich nie ujawniać?

**AK:**

Tak, trochę się cenzurowałem.

Zawsze podczas pracy nad biografią natrafia się na fakty, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Kojarzę Hrabala jako człowieka dobrego, lojalnego wobec przyjaciół, uczciwego. On sam nazywał się tchórzliwym bohaterem. Wiadomo, że – zwłaszcza już

w podeszłym wieku – siedł na rozmaite kompromisy, wchodził z władzą w nieciekawe sytuacje. Czasem nie bardzo wiadomo, po co. Czy na przykład uważał, że jeśli nie podpisze „Antykarty”, zabronią mu publikowania? A podpisał, wziął udział w tej akcji potępiającej sygnatariuszy „Karty `77”. Te fakty były dość oczywiste dla mnie, ale była historia, która mnie poruszyła.

Karel Bartošek, historyk, po 1968 roku wyrzucony z pracy, został palaczem w kotłowni, jak wielu przeciwników normalizacji. Z jego dzienników wydanych po śmierci dowiedziałem się, że poznał Hrabala i blisko się z nim zaprzyjaźnił, w latach 1972-1973 nieustannie się z nim spotykał. Ale kiedy atmosfera wokół tego młodego historyka zagęszcza się, Hrabal zrywa z nim kontakty. Bał się spotykać z bliskim sobie człowiekiem, którym interesuje się bezpieka, w pewnym sensie go skreślił. Nie znałem wcześniej tej historii i żałuję, że nie znalazła się w książce.

**DS:**

Czy u Hrabala znalazłeś jakąś informację na temat tej przyjaźni?

**AK:**

Nie, ale to o niczym nie świadczy, ponieważ Hrabal pisał wyłącznie o tym, o czym chciał pisać. Na przykład nie znalazłem u niego żadnej informacji, że znał Otę Pavla. A znał. Często ma się takie wrażenie, że pisał o wszystkim, że wszystko odsłonił, a w gruncie rzeczy on się doskonale zamaskował.

**DS:**

Kiedy czytamy jego opowieści łatwo jest przyjąć, że one są wręcz autobiograficzne, zwłaszcza, że on to inkrustuje wydarzeniami, które znajdują potwierdzenie w jego biografii, a – jak wielokrotnie podkreślasz w swojej książce – to jednak jest przemyślana kreacja.

**AK:**

Historie znajomości z Karlem Bartoškiem, zresztą późniejszym współtwórcą *Czarnej księgi komunizmu*, i innymi bohaterami Praskiej Wiosny, były dla mnie ciekawe, bo one ukazują Hrabala w kontekście najbardziej awangardowych, rewizjonistycznych środowisk politycznych lat 60. On wtedy tych wszystkich reformatorów znał, był z nimi bardzo blisko a później kompletnie wyparł to z pamięci i zatuszował. Głównie dlatego, że się po prostu bał. W latach 70. i 80. nie można było o tym w ogóle



Aleksander Kaczorowski podpisuje swoje książki

Foto: Jaroslav Zięba

mówić, ci ludzie oficjalnie nie istnieli. Albo siedzieli w więzieniach, jak Jaroslav Šabata, czy Bartošek, albo byli na emigracji, jak Milan Kundera, albo przebywali w areszcie domowym, jak Karel Kosík i Hrabal nie chciał o tym pisać nawet do szuflady. Raz poważnie zaangażował się w politykę, właśnie w okresie Praskiej Wiosny, kiedy znalazł się w środowisku najbardziej progresywnych politycznie ludzi w kraju. A my go zupełnie nie kojarzymy w ten sposób.

**DS:**

Ja mam po lekturze Twojej książki wrażenie, że to był nie tyle oportunizm, co jakiś paraliżujący lęk, z którym Hrabal nie potrafił sobie poradzić, lęk, że po prostu będzie go ścigać bezpieka. Kiedy

przyjaciele w Kersku urządzili mu urodziny i zjawił się na nich Josef Smrkovský, pisarz był zachwycony do momentu – piszesz – w którym nie zjawiają się tajniacy. Z polskiej perspektywy może to wyglądać źle, a przecież nie jest to takie proste.

**AK:**

Tam się było czego bać. A poza tym Hrabal był już wtedy człowiekiem pod sześćdziesiątkę i bał się też fizycznych cierpień. Patočka umarł przecież po przesłuchaniach.

**DS:**

Tak, ale myślę, że to nie tylko to.

**AK:**

W *Dryblingu Hidegkuti*, czyli rozmowach z Hrabalem, które przeprowadził László Sziget, pojawia się anegdota o tym, jak František Hrubín pyta Hrabala: Bohoušku, czy ty też tak masz, że jak musisz iść na pocztę, to masz potem cały dzień do dupy? Zrozumiałem dopiero po latach, o co mu chodziło. On się w ogóle bał jakichś ingerencji świata zewnętrznego, które zakłócały mu równowagę, burzyły spokój i koncentrację.

Hrabal od pewnego czasu pisał *alla prima*, nie poprawiał tekstu. *Obsługiwałem angielskiego króla* napisał w 18 dni (szybkiego pisanie na maszynie nauczył się jako młody chłopak w szkole handlowej). Pisał dzień w dzień, nikt mu nie przeszkadzał, ludzie bali się wtedy, w 1971 roku, do niego przychodzić. I pisał w stanie jakiejś niesłychanej koncentracji. Kiedy mieszkał na Libni, na dachu szopy zrobił sobie taki stołek i pisał w słońcu, nie widząc nawet, co pisze. Pisał metodą strumienia świadomości. Rano budził się skacowany, a kac wzmaga wrażliwość, otwiera wszystkie pory, pozwala przyjmować świat całym sobą. Potem wypijał kawę i wypalał 3 papierosy i zabierał się do pisania. Tak to u niego wyglądało. Około południa już było po pisaniu, bo albo

szedł do pracy na drugą zmianę, do huty, albo szedł do knajpy czy do znajomych. Pisał po prostu takimi zrywami. W jego ostatnich tekstach, w późnych *Listach do Kwiecieńki* to już widać, nawet rozmiar tekstu, tych kilka kartek, które jako osiemdziesięciolatek mógł napisać, o tym świadczy.

On się straszliwie bał, że mu to zaborą. Że nie będzie mógł pisać. A jak nie mógł pisać, wpadał w depresję. Pisanie było jedynym wyjściem, kiedy pisał, to nie pił. Bo jeszcze chyba nie powiedzieliśmy, że bardzo dużo pił, całe życie.

**JM:**

Pisanie pozwalało mu też nie popełnić samobójstwa.

**AK:**

No tak, „moje pisanie to jest moje odwleczone samobójstwo”, to jego słowa.

**DS:**

Chciałabym cytatem skomentować to, co powiedziałaś o pisaniu *Obsługiwałem angielskiego króla*: „kiedy to przeczytałem, powiedziałem sobie: z tym się już nic nie da zrobić, koniec, kropka”. Widać, że miał poczucie, że napisał właśnie tak, jak chciał. Bardzo mnie w Twojej książce uderzyło, jak niesłychanie ważne było dla niego pisanie. *Ze Słodkiej apokalipsy* przebija to z przejmującą siłą. To moim zdaniem tłumaczy ten jego strach, że jeśli mu zabronią pisania, to nie ma nic, nie ma świata.

**AK:**

Otóż to. Jeśli mu zabronią publikowania, to nie jest to wielki problem, gorzej, jeśli doprowadzą do sytuacji, że nie będzie mógł pisać.

**DS:**

A nie będzie mógł pisać, jeśli będzie gdzieś siedział przesłuchiwany, nękanie.

**AK:**

Kiedy w latach 80. służby wzięły go w obroty, uciekł na oddział neurologiczny. No i go tam przyjęli, a to znaczy, że się kwalifikował. To był skutek tego nachodzenia, wzywania na przesłuchania. Specyfika życia w Czechosłowacji polegała na tym, że kontakt z bezpieką miało się tam przy każdej okazji i bez okazji. Hrabal, kiedy chciał z żoną jechać na wczasy zagranicę, czy do Niemiec, do rodziny Elišky, musiał chodzić po paszport. I to są całe urzędnicze kołomyje, które w książce opisują: czy dadzą, czy nie dadzą, a to pan przyjdzie jutro, ale to już prosimy do MSW...

To była też kwestia wieku, choć inna rzecz, że kiedy był młody, nie stawał wobec takich problemów, bo był zupełnie nieznanym i nikt się nim nie interesował.

**DS:**

A nie wydaje ci się, że to jest kwestia pewnej struktury psychicznej, wrażliwości?

**AK:**

To się pogłębiało. Ta struktura z jednej strony umożliwiała mu pisanie, z drugiej w jakiś sposób go zasklepiła, bo on stawał się właściwie medium. I w ostatnich latach jest jak ten motyl, który opuszcza kokon. Właściwie wszystko oddał literaturze.

**DS:**

To dobrze odpowiada mitowi artysty, który się spala w tym, co robi, który pisze życiem. Dla mnie historia jego życia jest przejmująca. To opowieść o człowieku, który żyje niesłychanie

intensywnie, mimo że wydawać by się mogło, że nic wielkiego się nie dzieje, że siedzi w Kersku i karmi koty.

**AK:**

Tak, tam jest o czym pisać.

**JM:**

Porozmawiajmy teraz o polskich wątkach w twórczości Hrabala. Dowiedzieliśmy się z książki, że pisarz był dwa razy w naszym kraju. Czy Polska w jakimś stopniu zaważyła na jego twórczości?

**AK:**

Mało jest tej Polski u Hrabala, pojawia się epizodycznie w różnych miejscach. Chociaż przecież Wojciech Soliński napisał całą książkę *Hrabal a sprawa polska*. Było dla mnie ciekawe, że tak dużo można było tego znaleźć, ale tam jest odnotowana każda wzmianka, włącznie z tą, którą pamiętamy ze *Zbyt głośnej samotności*, że główny bohater znajduje but zgubiony trzydzieści lat wcześniej na pchlim targu w Szczecinie. Jednak Polska występuje tam właściwie śladowo.



Podczas spotkania: D. Siwor, A. Kaczorowski, J. Marek

Foto: Jarosław Zięba

Hrabal był w naszym kraju co najmniej trzy razy. Pierwszy raz jeszcze przed wojną, kiedy jako młody chłopak wybrał się do

Finlandii. Jechał przez Polskę, a dokładniej przez kresy, więc miał wrażenie, że Polska to jest wschodni kraj. Pisze wprost, że na tych polskich niekończących się równinach zrozumiał istotę sekretu rosyjskiej duszy i Dostojewskiego. Tyle z Polski zauważył.

Drugi raz był tutaj w zabawnych okolicznościach. Kiedy już wydał kilka książek, kiedy już Menzel nakręcił *Pociągi pod specjalnym nadzorem* (ale jeszcze przed przyznaniem Oscara), ktoś wpadł na pomysł, żeby Hrabala zaprosić do Warszawy, gdzie właśnie ruszał pierwszy Dyskusyjny Klub Filmowy, w Domu Kultury na Elektoralnej. I ktoś wymyślił, żeby zainaugurować jego działalność pokazem *Pociągów*. I to się udało. Ale niestety, poza członkami DKF-u i studentami sławistyki prawie nikt na spotkanie z nim nie przyszedł, bo nikt jeszcze nie wiedział, kto to jest Hrabal, mimo że ukazały się już u nas *Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych*. Nie było to spotkanie autorskie, Hrabal zapowiedział tylko film, nakręcony według jego prozy.

No właśnie, to było 7 marca 1968 roku. Wszystko już wisiało w powietrzu, to znaczy protesty studenckie i moim zdaniem on myślał tylko o tym, żeby się ewakuować z tej dziwnej sytuacji i wrócić do Pragi. Zresztą Hrabal musiał się w tej delegacji pisarzy czeskich bardzo dziwnie czuć, bo poza nim byli tam właściwie sami KGB-iści, donosiciele, którzy zaraportują gdzie trzeba, co kto robił i jak się zachowywał.

Ciekawe jest, że wszyscy o tej wizycie kompletnie zapomnieli, nie ma tego wydarzenia w żadnych, nawet najbardziej szczegółowych kalendarzach Hrabalowskich. Sam Hrabal też nigdzie o tym nie napisał, a przecież pisał o wszystkim. Dotarłem do tego przypadku. Andrzej Gordziejewski, wówczas student bohemistyki, zachował zaproszenie z autografem Hrabala. Co ciekawe, później został redaktorem wydawnictwa „Czytelnik” i przez jego ręce przeszła większość tłumaczeń książek Hrabala, włącznie z tymi drugoobiegowymi. To jedna z tych niedocenionych

postaci, bardzo ważna w procesie upowszechniania twórczości Hrabala w Polsce.

#### DS:

Takich polskich smaczków znajdziemy w książce więcej. Na przykład *Zbyt głośna samotność* wyszła w po polsku wcześniej, niż po czesku.

#### AK:

*Zbyt głośna samotność*, czyli jak twierdzą niektórzy, najlepsza powieść Hrabala, była gotowa około 1976 roku, ale oczywiście oficjalnie ukazać się nie mogła.

Czeski samizdat oparty był na powielaniu maszynopisów. Ważną jego funkcją było ocalić dzieło przed nieprzewidzianymi sytuacjami, na przykład rewizją. Można było zrobić za jednym przepisaniem kilka kopii, które zaczynały krążyć. To dotyczyło nie tylko współczesnych, zakazanych pisarzy, w ten sposób upowszechniano też wiele książek wydanych przed wojną i przekładów. I to działało.

Jedna z takich kopii *Zbyt głośnej samotności* trafiła do Warszawy, do Piotra Godlewskiego, tłumacza literatury czeskiej i słowackiej, a jednocześnie człowieka związanego z opozycją. W ten sposób książka Hrabala stała się w 1978 roku jedną z pierwszych pozycji wydanych przez polską podziemną oficynę NOW-a i do 1989 roku miała w Polsce co najmniej pięć nielegalnych wydań. Czeskie wydanie emigracyjne ukazało się później, a oficjalne dopiero w 1989 roku.

Podobnie zdarzyło się z innym tekstem Hrabala, *Zaczarowanym fletem*, a właściwie *Czarodziejskim fletem*, bo to przecież z Mozarta, utworem poświęconym samobójczej śmierci Jana Palacha i manifestacjom w 20. rocznicę jego śmierci, w styczniu 1989 roku. Ukazał się w Czechosłowacji w podziemiu,

a w Polsce przynajmniej jedno z kilku tłumaczeń wydano oficjalnie, bo tu było to już możliwe.

**JM:**

Wiadomo, że bardzo ważnym pisarzem był dla Hrabala Bruno Schulz. W *Pięknej rupieciarni* napisał: „od czasu jak przeczytałem *Sklepy cynamonowe*, przeprowadziłem się tam i mieszkam tam do dziś, choć nigdy tam nie byłem, ale co z tego? Fikcja bywa doskonalsza i prawdziwsza niż rzeczywistość”.

**AK:**

Rzeczywiście jedynym istotnym wątkiem polskim u Hrabala i ważną inspiracją, chociaż spóźnioną, jest twórczość Brunona Schulza, którą on – jak sam mówił, na szczęście – poznał na tyle późno, że już nie mogła na niego wpłynąć. Mówił, że gdyby go przeczytał wcześniej, nie mógłby pisać, że to by go zabiło. Hrabal poznał Schulza, w przekładzie na język czeski oczywiście, w 1968 roku, kiedy wydano go w Czechosłowacji. Dostał tę książkę od jednego z tłumaczy, to były oczywiście *Sklepy cynamonowe* (*Skořicové krámy*), i to była jakaś niesamowita iluminacja, która – jak sądzę – w dużej mierze sprawiła, że później tak wyraźnie w twórczości i różnych wypowiedziach Hrabala pojawiła się kwestia Europy Środkowej. Tej przeszłości austriackiej, habsburskiej, galicyjskiej. Schulz odegrał tu bardzo ważną rolę. Oczywiście, istotne były też czeskie inspiracje, na przykład Kafka, ale Schulz doskonale się tu wkomponował.

**DS:**

Hrabal napisał, że mieszka w tych miastach, których nie ma i między innymi wymienia Drohobycz.

**AK:**

Tak, „w Drohobyczu jestem u siebie”. Właściwie Nymburk też jest miasteczkiem, które przestało istnieć. Kiedy ogląda się

zdjęcia starego Nymburka widać, jak malownicze to było miasto. Współczesny Nymburk jest zupełnie inny niż ten sprzed stu lat, w którym Hrabal się wychował. W pewnym momencie przestał tam jeździć, a w połowie lat 70. wręcz przeniósł swoich zmarłych bliskich z cmentarza nymburskiego na cmentarz w Hradištku, gdzie teraz i on jest pochowany. Nie chciał jeździć do Nymburka, bo stał się dla niego obcym miastem.

**DS:**

A czy tam nie zdarzyło się coś, co mogło spowodować taką, mocną przecieź, reakcję? Jakies wystąpienia przeciwko niemu? To przecieź nieco dziwne, tak porzucić miasto swojego dzieciństwa, które się mitologizowało w twórczości.

**AK:**

Nymburk był zawsze jednym z bastionów komunistycznych, tam była bardzo silna partia i patrzono na Hrabala niechętnie. Również dlatego, że miał komunistyczny epizod. Tuż po wojnie, właśnie w Nymburku, z kilkoma najbliższymi przyjaciółmi, zapisał się do partii komunistycznej i został referentem do spraw kultury w Urzędzie Miasta. I po kilku miesiącach się z tej partii wypisał – widocznie napatrzył się dość i stwierdził, że to nie jest dla niego. I zrobił to na swoje szczęście, bo po kilku latach cała ta grupa, napiętnowana jako trockiści, trafiła do więzienia. A Hrabal chyba w związku z tą sprawą dostał propozycję nie do odrzucenia – miał zgłosić się na ochotnika do pracy w hucie. On to bardzo późno, już po 1989 roku, opowiedział.

Hrabal był największym człowiekiem, jaki kiedykolwiek był związany z Nymburkiem, a w latach 70. nikt go tam nie zapraszał, przestał dla tego miasteczka istnieć. Nie mógł mieć wieczoru autorskiego w swoim rodzinnym mieście, bo nikt nie odważyłby się zorganizować z nim spotkania – przecieź według władzy

takiego pisarza nie ma. Myślę, że to było dla niego przykrym doświadczeniem.

A kiedy już w latach 90. udało się go tam ściągnąć, przyszło mnóstwo ludzi, podpisywał książki – podeszła do niego starsza pani i mówi: „A pan mnie wyrzucał ze szkoły”. Pomyliła go z panem Hrabalem, który był dyrektorem gimnazjum!

Hrabal miał też w Nymburku kochankę, żonę przyjaciela. Szamotali się z tym 10 lat. Myślę, że także z tego powodu unikał tego miasta.

**DS:**

Widzimy, że biografia Hrabala jest po trochu i powieścią sensacyjną, i powieścią polityczną, i romanssem.

**AK:**

Jarmilą zainteresowałem się dlatego, że ona jest bohaterką, a także w jakiejś mierze narratorką pierwszego ważnego dla Hrabala tekstu, pisanego na przełomie 1947/1948 roku poematu *Kolekcji nie ma. Mathias*. Jak mówił Szigetiemu w *Dryblingu Hidegkuti*, ten dziwny tytuł wziął z telegramu, jaki otrzymał od swojej ukochanej i była to zaszyfrowana informacja, że wbrew wcześniejszym obawom nie jest w ciąży. W innym tekście Hrabal podaje inną wersję – że chodziło o usunięcie ciąży.

**DS:**

I taka wersja jest w Twojej książce.

**AK:**

Kiedy czyta się ten genialny poemat widać, że jest to czas odnalezienia przez Hrabala swojej poetyki. Tam już są te zderzenia, kontrasty, szaleńcze metafory, ale jest to także moment, kiedy uświadamia sobie, że literatura jest sprawą życia i śmierci. Że tylko

w literaturze można to, co ważne wyrazić, zaszyfrować. I że żyje się po to, żeby móc o tym pisać.

Kiedy czyta się dowolną książkę Hrabala ma się wrażenie, że to wszystko jest podszyte jakimś głębokimi, mocnymi osobistymi przeżyciami. On to oczywiście rozpisuje na głosy. W *Takiej pięknej żalobie* na przykład narrator opowiada, że jako mały chłopiec chciał mieć na piersi wytatuowaną łódeczkę, jak marynarz. Jak pamiętamy, marynarze spili go piwem i wytatuowali mu na piersi syrenkę. To jest autentyczna historia, którą Hrabal usłyszał w knajpie.

W tym sensie jest to pisarz bardzo nowoczesny. Jego proza współbrzmi z teoriami Rolanda Barthesa. On nie miał poczucia własności tekstu, nie uznawał czegoś takiego jak dzieło skończone – ja trochę w jego duchu piszę te biografie Hrabala, mogę napisać trzecią, mogę i piętnastą. Zawsze jest inaczej. U Hrabala nie ma skończonych tekstów. *Zbyt głośna samotność* na przykład ma trzy wersje zakończenia i nie wiadomo, które jest tym właściwym. Hrabal na takie pytania nie odpowiadał. Jego to w ogóle nie interesowało i uważam, że to był niesłychanie nowoczesny stosunek do tekstu, do twórczości. Pisarz nie jest więźniem swojego dzieła. Możecie z nim robić, co chcecie.

**DS:**

To dobrze koresponduje z inną praktyką Hrabala, znacznie wcześniejszą, z tym, że brał czyjeś opowieści i uważał je też za swoje.

**AK:**

Albo z tą, że potrafił swoje teksty ciąć i robić z nich coś zupełnie innego. Wziął na przykład swoje trzy wiersze, pociął je, trochę przypadkowo chyba pomieszał i stworzył z tego opowiadanie *Kafkiada*, o zupełnie nowym znaczeniu. Tekst jest materiałem, który można poddawać obróbce, montować – nie ma skończonego tekstu.

**DS:**

To bardzo postmodernistyczne działanie.

**AK:**

To jest wolność.

Opracowanie: Jerzy Marek

O spotkaniu na stronie [www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy](http://www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy.pl) :

- *Dzieło w ruchu. Aleksander Kaczorowski o życiu Bohumila Hrabala*



## Małe i wielkie historie kobiet w Czechach

Z Mariuszem Suroszem

rozmawiają Dorota Siwor i Jerzy Marek



### **Dorota Siwor:**

Podczas spotkań „Czułych barbarzyńców” mieliśmy wielokrotnie okazję rozmawiać z Mariuszem Suroszem, który wspiera nas od samego początku. Tematem była na ogół historia i współczesność Czechosłowacji i Czech. Większość z Państwa zapewne zna poprzednią książkę Mariusza Surosza *Pepiki*, w której przedstawiał historie kilkunastu postaci mniej lub bardziej znanych, ale związanych w znaczącym stopniu z dziejami tego kraju. Dziś będziemy rozmawiać o nowej książce *Ach, te Czeszki*. To opowieści o losach ośmiu kobiet. Zacznę zatem od pytania o to, jakie były kryteria doboru Twoich bohaterek? Wiem, że niektórymi z nich interesowałaś się od dawna, ale co sprawiło, że wybrałaś akurat te?

### **Mariusz Surosz:**

Musiałem oczywiście dokonać selekcji, ponieważ i pomysłów, i materiału było znacznie więcej. Nie znalazły się tu na przykład historie o Romkach, o których chciałem napisać, ponieważ problemy mniejszości romskiej w Czechach uważam za bardzo istotne. Planowałem też rozdział o Bułgarce, Węgierce, Rosjance. Nie udało się tego zrealizować. Od początku pracy nad książką wiedziałem, że chcę bardzo napisać o Věrze Čáslavskiej i Adinie Mandlovej. Dlaczego te panie? Mandlová zostawiła świetne wspomnienia, więc w pewnym sensie miałem możliwość „porozmawiać” z nią. Była taką wyzwoloną kobietą! Bezwzględnie wykorzystywała swoją urodę w świecie mężczyzn. Oni byli przekonani, że ją zdobyli,



uzależnili w jakiś sposób od siebie, ale czy tak było? Czytając te wspomnienia trudno nie odnieść wrażenia, że Adina toczyła z tym męskim światem swoją wojnę, walczyła o to, aby nie traktowano jej przedmiotowo i chyba zwyciężyła w tym boju. A Čáslavská? Jak się znajdzie takie zdanie, że w 1968 roku popularnością dorównywała jej tylko Jacqueline Kennedy, to już jest wystarczający powód, aby przyjrzeć się kobiecie z małego kraju w środku Europy. Jej cichy protest przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację podczas olimpiady w Meksyku dziś może się komuś wydawać drobnym gestem – to był tylko ruch głową podczas grania hymnu Związku Radzieckiego – ale wtedy oznaczał podjęcie ryzyka, bohaterstwo. Spotkały ją zresztą później z tego powodu szykany. A jeśli jeszcze dodać do tego dramatyczne koleje jej życia, nieudane małżeństwo i upór, z jakim przeciwstawiała się konformizmowi, to wiedziałem, że to jest temat. Ci, którzy czytali książkę wiedzą, że po załamaniu nerwowym przebywała w zakładach psychiatrycznych i wiele lat walczyła, aby wrócić do zdrowia. W jej losach odbija się historia Czechosłowacji tamtych czasów, znamienne są przejścia związane z procesem jej syna oskarżonego o zabicie ojca, a potem ataki i zarzuty, że wykorzystwała znajomość z prezydentem Havlem... Wątek w tej historii jest mnóstwo. Na marginesie tylko dodam, że cztery lata starałem się o możliwość spotkania z nią. Chwałę się zazwyczaj, że jestem w stanie zdobyć numer telefonu czy adres mailowy do każdego, do kogo chcę, ale w tym wypadku byłem bezradny. Jej przyjaciele pozostali niebywale wobec niej lojalni. Żaden z nich nie użył mi danych kontaktowych. Ona nie chciała z nikim się spotykać. Odmawiała ekipom japońskim, amerykańskim, czeskim, a przyjaciele ją chronili. Zazwyczaj jest tak, że ktoś się „wysypie”, da numer telefonu, ale zastrzeże, że bym nigdy nie zdradził od kogo go dostałem. Tu było inaczej.

Szukałem też Rosjanki, ale nie wśród tych, które zamieszkały w ostatnich latach w Czechach, tylko emigrantów, którzy schronili się w Czechosłowacji po rewolucji październikowej. Bo takie rodziny

są. Chciałem prześledzić, jak to środowisko przeżywało zakończenie II wojny światowej, kiedy specjalne oddziały wyłapywały w Czechosłowacji rodziny emigranckie i co się z nimi działo podczas interwencji wojsk układu warszawskiego w 1968 roku. Też się nie udało. Żałuję. Bułgarami natomiast zainteresowałem się, kiedy na Cmentarzu Olszańskim znalazłem rzędy nagrobków z nazwiskami pisanymi cyrylicą. Początkowo sądziłem, że to czerwonarmiści, ale kiedy dowiedziałem się, że to byli Bułgarzy, zacząłem szukać o nich informacji. Dlaczego w części wojskowej leżą Bułgarzy? Dowiedziałem się, że były to dzieci sadowników, którzy pod koniec XIX stulecia przyjechali z Bułgarii i w okolicach Pragi zakładali sady owocowe. Ich potomkowie, kiedy wybuchło powstanie praskie, nie mieli wątpliwości, że należy walczyć po stronie Czechów i zapłacili za to życiem.



Mariusz Surosz na Festiwalu Kultury Czeskiej

Foto: Jarosław Żęba

W książce miała też znaleźć się historia Słowaczki. Wybrałem sobie niebywale interesującą moim zdaniem osobę. Magda Husáková-Lokvencová to pierwsza żona Gustava Husáka. Można się zastanawiać, co ciekawego jest w historii kobiety, która związała się z takim człowiekiem. Był przecież sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Czechosłowacji, a później prezydentem Czechosłowacji. Louis Aragon powiedział o nim, że uczynił z tego

kraju Biafrę ducha. Wtedy jednak ona już nie żyła. Wcześniej, w latach 50-tych, kiedy Husák siedział w więzieniu trwała przy nim, mimo że znalazła sobie innego partnera i że Służba Bezpieczeństwa namawiała ją, by się z Husákem rozwiodła, jednak tego nie zrobiła. Została do momentu, kiedy zwolniono go z więzienia, wtedy odeszła i wkrótce stała się najważniejszą słowacką reżyserką teatralną. Husák do końca życia ją kochał. Nie napisałem o niej, bo nie sposób było dotrzeć do jej listów, które wysyłała do więzienia. A ja chciałem moje bohaterki poznać jak najlepiej, znać ich punkt widzenia.

Wszystkich tematów nie mogłem ugryźć, tym bardziej, że wydawca naciskał, by kończyć, musiałem pozostawić te osiem bohaterek. W przedmowie napisałem, że nigdy nie powstanie książka, która wyczerpie złożoność dziejów naszych południowych sąsiadów i tym wyborem też tego dowiodłem.

**DS:**

Może to dobry zaczątek trzeciej książki?

Wśród Twoich bohaterek są postacie sławne, ale też osoby zupełnie nieznanne. Dlaczego zainteresowałaś się ich życiem?

**MS:**

Tak, Čáslavská i Mandlová były osobami popularnymi, a pozostałe? Czy tylko życie osób znanych jest ciekawe? Śledząc losy moich bohaterek łatwo się przekonać, że opowieść o każdej z nich może być materiałem na osobną książkę. Takim niezwykłym przykładem są losy Petry Šachovej – modelki, ale przede wszystkim kapłanki Czechosłowackiego Kościoła Husyckiego. To jedna z moich ulubionych postaci. Zainteresowałem się nią przygotowując artykuł dla „Polityki”, ale jej historia warta była znacznie szerszego opracowania.

Z kolei losy Růženy Vackovej i jej rodziny łamią stereotypowy obraz czeskiego społeczeństwa jako konformistów, niezdolnych

do oporu i działalności konspiracyjnej. Jej bliscy płacą przecież za swoją postawę najwyższą cenę, a i na jej życiu historia odciska się bolesnym piętnem.

Chciałem też na przykład zmierzyć się z dziejami Polaków z Zaolzia – bo tak naprawdę nie rozumiem, co dzieje się na Śląsku Cieszyńskim. Szukałem kogoś, kto doświadczył życia po obu stronach granicy, w pewnym sensie pomiędzy dwoma nacjami. Zresztą w tym rozdziale [*Elżbieta*] przedstawiam losy kobiet z jednej rodziny, ale reprezentujących trzy pokolenia – perspektywa staje się, jak sądzę, tym bardziej interesująca. Podobnie bohaterka opowieści o Czechach wołyńskich nie jest postacią powszechnie znaną. Kiedy dowiedziałem się o historii tej społeczności też mnie ten temat zafrapował. Wyszukałem panią Miloslavę Žákovą i to były również niezwykle ciekawe spotkania.

**Jerzy Marek:**

Wspomniałeś o Zaolziu. Przyglądałeś się tym zagadnieniom. Jak kształtowały się po 1918 i po 1945 relacje polsko-czeskie, zwłaszcza właśnie w rejonie Śląska Cieszyńskiego?

**MS:**

Temat rzeka. Można godzinami o tym opowiadać. Często mówi się o tych relacjach w sposób bardzo schematyczny, zarówno Czesi, jak i Polacy niewiele wiedzą nie tylko o argumentach drugiej strony, ale i o faktach... Mnie interesowali Polacy z Zaolzia, jak oni sobie układali życie w Czechosłowacji, a później w Czechach. Rozmawiając z nimi miewam takie wrażenie, że chcieliby Zaolzie zmitologizować na podobieństwo mitu Kresów, gdzie im się ciężko i tragicznie żyło pod czeskim butem. Czasem mówią, że Polska o nich zapomniała, a czasem mam wrażenie, że działaczom polskich organizacji wystarczy, że zostaną zaproszeni do sejmu czy polskiej ambasady i to ich całkowicie zadowala. Dlatego, aby to zrozumieć, wziąłem się za rozdział, gdzie bohaterkami są trzy

pokolenia kobiet z rodziny Rusnoków. Wiem więcej niż wcześniej, ale wciąż nie na tyle, aby się wypowiadać jako fachowiec. Są historycy, którzy napisali obszerne opracowania na ten temat i tam chętnych odsyłam. A o relacjach polsko-czeskich w okresie międzywojennym też powstały dobre książki, choć może lepiej byłoby powiedzieć, że były mniej lub bardziej złe. I to z różnych powodów. Po 1945 roku to nawet można by sytuację uznać za zabawną, gdyby nie to, że relacje te wpływały na los ludzi tam mieszkających. W obu krajach rządząli komuniści, a mimo tego nie potrafili się dogadać i tego galimatiasu uporządkować. Ba, zdarzały się sytuacje, które wyglądały tak, jakby obie strony robiły sobie na złość. W niektórych okresach władze po obu stronach uprawiały intensywną propagandę, by wzbudzać i podsycać wzajemną wrogość. Zresztą to promieniuje do dziś, utrwalone sądy zmienia się bardzo powoli. A równocześnie mieszkańcy tych terenów często nie identyfikowali się jednoznacznie jako Czesi czy Polacy, byli po prostu 'stela'. Teraz można powiedzieć, że Zaolzie nie interesuje nikogo poza jego mieszkańcami.



Sala podczas spotkania z M. Suroszem

Foto: Jarosław Zięba

**DS:**

Myślę, że walorem tej książki jest także obiektywizm autora. Pokazujesz fakty, a czytelnik sam ma wyciągać wnioski. Warto

podkreślić, że piszesz kompetentnie i rzetelnie, z dociekliwością i wielką uwagą. Jednak ten obiektywizm nie wyklucza chyba pewnego emocjonalnego stosunku do bohaterów – czyja historia poruszyła Cię szczególnie? Powiedziałeś tu już, że wielką sympatią darzysz Petřę Šachov, kogoś jeszcze?

**MS:**

We wszystkich tych historiach znalazłem co, co mnie poruszyo. Petra Šachov – jake nie by zauroczonym?! Moda kobieta w 1970 roku zostaje Miss Pragi, ma oferty grania w filmach, a mowi, e lepiej by dobr kapank ni z aktork i wybiera drog duchownej! Mao tego, bdc kapank pracuje jako modelka! Ale pamitajmy te, e w tej opowieci przedstawiam dramatyczne losy Czechosowackiego Kocioa Husyckiego, pokazuj, jak komunici chcieli nim kierowa i go zawaszczy. O kadej z moich bohaterek mog powiedzie, e mnie zafascynoway ich losy.

**DS:**

Moe powiedz troche o swoim warsztacie twórczym, to te jest interesujce...

**MS:**

Rozumiem, e chodzi o sprawy kompozycji, wyszukiwania źróde i tak dalej... Bo jeli chodzi o techniczn kwesti, czyli jak wyglda moje biurko, to owiadczam, e go nie mam, najczeciej klepi w klawisze w pozycji poleanej i skutki tego ju czuj. Bole kregsupa. Z tym warsztatem to jest problem. Bo ja jestem taki improwizator, nie mog powiedzie, e w gowie mam konstrukcj caego rozdziau, o nie... Raczej pisz od fragmentu do fragmentu, kiedy wiem, jak chc zaczc kolejny akapit, to na nim si skupiam i on jest dla mnie najwaniejszy.

**DS:**

To ciekawe, bo oboje z Jerzym mieliśmy wrażenie, że właśnie kompozycja poszczególnych rozdziałów w *Czeskach* jest świetna... i bardzo precyzyjna...

**MS:**

Czasem jakaś myśl niespodziewanie przyjdzie, ale stosuję zasadę, że nie będę naginał faktów, abym miał jakąś efekciarską pointę, że moja książka jest dla tych, którzy nad efekt więcej cenią sobie rzetelność i trzymanie się faktów. Skoro moje książki traktowane są jako literatura faktu, to mnie to zobowiązuje. Ja strasznie dużo grzebię, aby napisać akapit, czasem trzeba przewertować wiele akt, roczniki gazet albo kilka książek, albo zadać bohaterce dodatkowe pytania. Pamiętam, że nie tylko Petra Šachová, ale i inne moje rozmówczynie powtarzały mi, że zadają zupełnie inne pytania niż czescy dziennikarze. No i co ja mam powiedzieć? To chyba dobrze.

Może dodam jeszcze, że polubiłem moje bohaterki, byłem oczywiście ciekaw ich historii, ale przede wszystkim chciałem też uszanować ich prawo do prywatności. Dlatego nie piszę o wszystkim i nie drażylę uporczywie, jeśli widziałem, że nie chcą o czymś mówić. Jestem przeciwny dzisiejszej modzie panującej wśród twórców reportażu, zasadzie, że liczy się efekt, zainteresowanie czytelników.

**JM:**

Wróćmy do historii. Kolejnym zagadnieniem, które jest bardzo interesujące, także z perspektywy polskiej, są relacje czesko-niemieckie. Kilka razy podczas naszych spotkań podejmowaliśmy ten temat, w książce także do niego wracasz. Jaki jest dzisiaj stosunek Czechów do kwestii Niemców sudeckich?

**MS:**

Oj, jest to wciąż drażliwa sprawa. Pamiętajmy, że to kwestia, która bardzo dzieli i bardzo łączy Czechów! Dziwne? Proszę sobie przypomnieć ostatnie wybory prezydenckie, kiedy Miloš Zeman poruszył ten temat chcąc uderzyć w swojego konkurenta.



Mariusz Surosz

Foto: Jarosław Zięba

No i zawrzało. A dlaczego łączy? Bo w zasadzie nie ma partii politycznej w Czechach, która by chciała zanegować to, co się stało po wojnie. Powiem w ten sposób: kwestia powraca. Przyjedzie do was Radka Denemarková zapytajcie ją, z jakimi reakcjami spotkała się po wydaniu wspaniałej książki *Pieniądze od Hitlera*. W Bielsku pokazywaliśmy film „Zabijanie po czesku” Davida Vondráčka, on też opowiadał, ile kubłów pomyj na niego wylano. Z jednej strony mówi się o wielowiekowym współzyciu Czechów i Niemców, powstają bardzo ciekawe opracowania, zmienia się punkt widzenia historyków, z drugiej dominuje narracja mówiąca, że Niemcy zasłużyli sobie na wysiedlenie, bo byli nielojalni wobec państwa, w którym żyli. Gdy się Czechom przypomina, że Niemcy nie chcieli tam żyć, albo że państwo czeskosłowackie nie było konsekwentne, to zaczynają się emocjonalne dyskusje. Powiem tylko w dwóch słowach, że do dziś używa się terminów ‘dziki transfer’ i ‘ekscesy’. Zanim w Poczdamie zapadły decyzje o wysiedleniu Niemców z Czechosłowacji, to doszło do wypędzeń i masakr. Właśnie te

wygnania nazywa się ‘dzikim transferem’, co sugeruje, że to było spontaniczne działanie Czechów, którzy mścili się za krzywdy. Podobnie z ‘ekscesami’, też słowo to jednoznacznie wprowadza znaczenie: żywiołowy, niekontrolowany. Ale jeśli się bliżej przyjrzeć faktom, szybko można się przekonać, że w tych wydarzeniach brała udział armia czechosłowacka. Były to działania prowadzone przez władze. A zatem jak tu mówić o spontaniczności? Owszem, zdarzały się przypadki żywiołowych linczów, ale te największe wygnania i masakry odbywały się z udziałem zorganizowanych oddziałów. Polakom też trudno się pogodzić z tym, że po wojnie były polskie obozy koncentracyjne, gdzie trzymano Niemców, Ślązaków, Mazurów. I Czesi także muszą z tym żyć. Ale o ile historycy piszą bez skrępowania o tych wydarzeniach, to jednak większość Czechów woli przywoływać argumenty o zdradzie Niemców i używać tych pojęć, o których wspominałem.

**DS:**

W książce znalazły się aż trzy opowieści dotyczące w pewnym stopniu pogranicza, we wszystkich historiach powraca temat różnie ujmowanej tożsamości. Równie interesująca jest historia wołyńskich Czechów – dla mnie także dlatego, że nic o tym nie wiedziałam. Na przełomie wieków na Wołyniu żyli obok siebie Polacy, Ukraińcy, Czesi, Żydzi, Niemcy... To ‘obok’ nie oznacza ani rywalizacji, ani agresji czy nienawiści – do pewnego momentu oczywiście. Jak skomentowałbyś relacje pomiędzy poszczególnymi nacjami w Kupiczowie, czy to była reguła czy raczej wyjątek?

**MS:**

Akurat dzisiaj byliśmy z Jerzym na „Wołyniu”. Ten film na nowo wzbudza zainteresowanie tematem. W moim przekonaniu obraz sielanki, czyli takiego niemalże beztróskiego współżycia wszystkich narodowości można znaleźć właśnie w polskich czy czeskich wspomnieniach. Polacy byli tam w mniejszości

w stosunku do Ukraińców, ale to było ich państwo. Powodziło im się jednak lepiej. W ukraińskich wspomnieniach często do głosu dochodzi poczucie upokorzenia. Ukraińcy przeważnie byli biedniejsi, a mieszkali przecież na swoim terenie. Byli obywatelami drugiej kategorii. Ówczesne państwo było państwem Polaków, w rozumieniu nie politycznym (jako obywatele Rzeczypospolitej), ale etnicznym. Pojawiają się tam na przykład polscy osadnicy, którzy dostają ziemię za zasługi, z kolei po śmierci marszałka Piłsudskiego dochodzi do pacyfikacji wsi ukraińskich, zmuszania do przechodzenia na katolicyzm, palenia cerkwi i podobnych aktów przemocy. Polacy nie dostrzegają, że pod naskórką coś złego się dzieje. Proszę zauważyć, Czesi i Polacy na Wołyniu nie mordują się, ale w czasie kryzysu monachijskiego we wrześniu 1938 roku obie te nacje żyjące wcześniej na Wołyniu w zgodzie, darzą się dużą dozą niechęci. Wystarczyła iskra. Czesi wołyńscy dobrze wspominają lata międzywojenne, ten obraz jest bardzo zbliżony do polskiego.

**DS:**

Na tym tle ciekawym zagadnieniem jest też status przesiedleńca w Czechosłowacji, już po II wojnie światowej – czy dostrzegasz tu podobieństwa do sytuacji przesiedlonych z Kresów na Ziemię Zachodnie?

**MS:**

Tak, ci z Wołynia odczuli różnicę cywilizacyjną! Zajmowali przecież domy po Niemcach, gdzie jednak łazienki, ubikacje to była norma. Wspomnienia Polaków są bardzo podobne. No i oczywiście druga strona medalu, czyli szabrownictwo, okradanie Niemców jeszcze tam mieszkających, nawet na większą skalę niż na Ziemiach Zachodnich. Można też jednak mówić o istotnych różnicach, na przykład o niechęci Czechów wobec przyjezdnych.

**JM:**

Wydaje się, że wśród tych historycznych tematów na nowo – dzięki filmowi Petra Zelenki – pojawia się kwestia układu monachijskiego. Jaki jest stosunek Czechów do tego faktu, czują się zdradzeni, czy jak chce Zelenka – zagubieni?



*M. Surosz podpisuje swoje książki*

**MS:**

Czeska trauma, związana z tym, że nie podjęli wówczas walki, jest wciąż dyskutowana. Ukazuje się bardzo dużo książek na ten temat, w telewizji i radiu często emitowane są programy publicystyczne. To problem nadal żywy, w powszechnym mniemaniu ocenia się te fakty jednoznacznie: zachodni sojusznicy nas zdradzili. Pojawiają się też jednak inne punkty widzenia, inne argumenty, na przykład, że państwo czechosłowackie swoim postępowaniem wobec mniejszości i wobec Słowaków dołożyło cegiełkę do rozpadu kraju. Bardzo ciekawe dyskusje się toczą.

**JM:**

Mówisz o dyskusjach, tymczasem dość chyba powszechne jest przekonanie, że Czesi nie interesują się szczególnie historią. Rozmawialiśmy tu niedawno z Miroslavem Karasem, który także tak twierdzi. Podawał przykłady czeskich filmów historycznych,

które zupełnie nie wzbudziły zainteresowania, raczej reakcje zdziwienia: to o nas, to nasza historia?

**MS:**

Ja bym z tym polemizował. Wspomniałem o książkach, o audycjach. Ich popularność moim zdaniem świadczy o zainteresowaniu historią. Nie tylko tą z XX wieku. Następuje proces przewartościowania czasów habsburskich, dostrzega się, ile dla rozwoju kraju stanowiły reformy Marii Teresy, jej syna Józefa II, a i Franciszek Józef jest oceniany pozytywnie. Austrię w Czechach nazywano ‘więzieniem narodów’, a teraz podkreśla się, że taki rozwój gospodarczy, ale i społeczny był możliwy tylko dzięki przynależności do Austro-Węgier. Warto jako przykład przywołać piękny budynek Teatru Narodowego w Pradze. Narodowy mit mówi, że Czesi zbierali po koroncy i dzięki temu wspólnemu wysiłkowi, jako przejawowi patriotyzmu, ufundowano ten okazały gmach. Historycy jednak wiedzą, że Franciszek Józef, cesarz tego ‘więzienia narodów’, dorzucił bardzo znaczącą kwotę. Oczywiście rozważania te są udziałem ludzi bardziej zainteresowanych tymi kwestiami, raczej nie można mówić o świadomości powszechnej, ale to chyba naturalne, w Polsce jest podobnie.

**DS:**

Równie obszernym tematem są stosunki państwo-kościół / kościoły w Czechosłowacji po 1948. W Twojej książce możemy to obserwować na przykładzie losów Petry i Růženy. Czy mógłbyś porównać, jaką rolę odgrywał Kościół w działaniach opozycji w Polsce i w Czechosłowacji?

**MS:**

Rozumiem, że mówimy już o czasach komunistycznych. Kościół husycki został wówczas niemalże całkowicie podporządkowany władzom. I to był wielki dramat, a katolicki? Znowu temat rzeka.

Wszystkim przy okazji polecam książkę ojca Hieronima Kaczmarka *Czechy. Kościół i państwo*, bo to podstawowe kompendium wiedzy o tej problematyce. Kościół był zwalczany z niebywałą gorliwością. Proszę sobie przypomnieć choćby postać Josefa Berana, arcybiskupa Pragi, którego komuniści więzili 12 lat. To te same czasy, kiedy uwięziony był kardynał Stefan Wyszyński, ale ten spędził w odosobnieniu trzy lata. Pamiętajmy, że wystarczyły dwie noce w 1950 roku, aby komuniści zlikwidowali wszystkie zakony męskie w Czechach. Duchownych zatrudniono na etacie, pod pretekstem, że odbiera im się 'kij żebraczy', a w zamian daje pensję. Ale nie wspomina się przy tym, że oznacza to uzależnienie Kościoła od państwa. Pamiętajmy: Kościół był opozycyjny wobec władzy komunistycznej i dał na to wiele dowodów, ale też jako zaciekle wróg był bezlitośnie infiltrowany przez agentów. Warto dodać, że duchowni sporo wycierpieli. Kościół czeski nie miał takich możliwości jak polski, zatem współpraca środowisk opozycyjnych odbywała się w konspiracji. Instytucjonalnie nie był w stanie wspierać opozycji. Jednak oczywiście współpraca między poszczególnymi duchownymi a dysydentami istniała, duchowni byli wśród sygnatariuszy Karty 77. Takim czytelnym symbolem jest na przykład fakt, że obecny prymas Czech, arcybiskup Dominik Duka poznał Václava Havla w więzieniu.

Porównywanie sytuacji Kościoła w Czechach i roli, którą tam odgrywał do Polski jest bardzo trudne, mimo pozornych podobieństw okoliczności historycznych wiele zachodzi tu różnic. Relacje państwo – Kościół w całym powojennym okresie były niesłychanie skomplikowane.

Nie jest prosta także kwestia wiary Czechów dzisiaj. Nie dajmy sobie wmówić, że ten kraj to duchowa i religijna pustynia. Wprawdzie duży procent społeczeństwa, mówi się, że to nawet 80 procent, określa się jako ludzie obojętni religijnie, ale jednocześnie czytają przecież eseje słynnego księdza-profesora Tomáša Halíka, a także oglądają masowo talk-show prowadzony przez innego

księdza, pochodzącego z Polski Zbigniewa Czendlika. Kościoły różnych wyznań wcale nie są tak puste, jak przywykło się sądzić. Także światopogląd Czechów wcale nie jest jednolity, chętnie dyskutują o granicach liberalizacji życia społecznego i okazuje się przy tym, że część z nich jest bardzo konserwatywna.

**DS:**

Mam wrażenie, że im dłużej rozmawiamy, tym bardziej widać, jak trudno jest ująć czeską rzeczywistość w kilku charakteryzujących ją rysach. Od kilku lat mieszkasz w Pradze, ale patrzysz na ten kraj jednak oczami kogoś z zewnątrz w dodatku będąc wyposażonym w obszerną historyczną wiedzę. Może dzięki temu, dzięki poszanowaniu faktów i dążeniu do obiektywnego spojrzenia dajesz swoim czytelnikom tak bogaty obraz czeskiego społeczeństwa i jego przeszłości. Pozostaje nam tylko życzyć sobie, abyś nie przestał obserwować i pisać.

Opracowanie: Dorota Siwor

*O spotkaniu na stronie [www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy](http://www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy):  
– Portrety Czeszek z Historią w tle (relacja)*



## Plastikowe M3, czyli czeska pornografia

Z Petřą Hůlovą nie tylko o prowokacjach  
rozmawiają Dorota Siwor i Jerzy Marek



### **Jerzy Marek:**

Podjeĳmuje Pani szczegóĳny temat. KsiąŹka została pomysĳlana jako monolog prostytutki, historia jest tu opowiadana z jej punktu widzenia i jej jęŹykiem. W konsekwencji epatuje czytelnika wulgarnym słownictwem i bardzo odważnymi scenami erotycznymi, jednak nie jest to ksiąŹka, która mogĳaby sprawić przyjemność dobrodusznemu miłośnikowi pornografii. Bohaterka mówi o szczegóĳach swojej pracy, ale i dzieli się z czytelnikiem przemyśleniami o tym wszystkim, co dotyczy sfery seksualności i relacji międzyludzkich. To chyba trudny temat, ciaĳo w naszych czasach otoczone jest niemal kultem, ale swoboda obyczajowa nie oznacza przecieŹ, Źe potrafimy nazywać problemy związane z tą sferą ludzkiego Źycia, Źe łatwo o tym mówić. Dlaczego zdecydowała się Pani na podjęcie tej problematyki?

### **Petra Hůlová:**

Mechanizmy poŹądania zawsze mnie interesowały. JuŹ w pierwszej ksiąŹce, opartej na moich doświadczeniach (jej akcja rozgrywa się w Mongolii<sup>1</sup>), pojawia się postać bohaterki, która zostaje prostytutką. Uświadomiĳam to sobie juŹ kiedy zaczęĳam pisać *Plastikowe M3*. Czĳowiek nie zawsze jasno zdaje sobie sprawę z tego, dlaczego coś przyciąga jego uwagę. Nie chodzi oczywiście o to, by analizować jakieś swoje własne odczucia czy

<sup>1</sup> Wydana w 2002 roku powieść *Paměť mojí babiĳce*, która w Polsce ukazaĳa się jako *Czas czerwonych góř* w przekĳadzie Doroty Dobrew.



emocje. Interesowało mnie pytanie, jak mówić o pewnych rzeczach odrzucając stereotypy i konwencje, które utrudniają docieranie do sedna problemów. Kultura i tradycja nakładają na języki i zachowanie człowieka ograniczenia niepozwalające swobodnie wyrażać naszej biologicznej natury, tego wszystkiego, co z erotyzmem się wiąże. Chciałam pokazać tę dwoistość, człowieka, w którym ścierają się natura i kultura. Dlatego postać prostytutki idealnie mi tu pasowała. Te trudności dotyczą zresztą nie tylko seksualności, ale ciała w ogóle – stosunku do niego, zachodzących w nim przemian, starzenia się. Dziś robi się wszystko, by biologię zminimalizować, ukryć. Erotyka obłożona jest szczególnie mocnymi ograniczeniami, mimo pozorów całkowitej otwartości we współczesnym mówieniu o seksie.

#### **Dorota Siwor:**

Tendencję do negowania utrwalonych sposobów myślenia o erotyce, o płci widać może przede wszystkim w języku. Wymyśla Pani na przykład specyficzne określenia narządów płciowych, odwracając ich rodzaj gramatyczny. Narząd męski to „raszpla”, a żeński to „wtykacz” – mówimy o polskich odpowiednikach, wymyślonych przez tłumaczkę Julię Różewicz. Już takie odwrócenie – na poziomie samego nazywania, powoduje burzenie pewnych stereotypów, które są zakorzenione głęboko w świadomości czytelnika.

#### **JM:**

Specyficzne jest też samo ujęcie relacji między człowiekiem a jego narządami płciowymi, które są w Pani książce opisywane trochę jak byty niezależne od człowieka – mają swoje potrzeby, słabości, trzeba się z nimi dogadywać. Ciało staje się w ten sposób śmieszne.

#### **PH:**

O to także mi chodziło. Bardzo zależało mi na tym, aby w książce pojawiły się różne poziomy, różne sposoby mówienia. Z jednej strony cielesność powinna być pociągająca, podniecająca – tak bowiem jest w ludzkim życiu. Chciałam też, by niektóre fragmenty były po prostu wzruszające – bohaterowie są przecież ludźmi, z ich osamotnieniem, nieporadnością, uczuciami. A równocześnie chciałam też pokazać śmieszność tego zabiegania o ciało i wszystko, co się z nim wiąże.



Petra Hůlová

Foto: Jaroslav Zięba

#### **DS:**

Dotykamy tu istotnego wątku, który także już podczas naszych spotkań się pojawiał. W literaturze czeskiej często fascynuje nas właśnie łączenie przeciwstawnych elementów, śmieszności i wzruszenia, piękna i rozpacz... Udaje nam się tutaj rozmawiać bez dotykania konkretnego tekstu, który wcale nie jest łatwy w lekturze. Mówienie o seksualności, o ciele, jego atrakcyjności i przemijalności – jak Pani zauważyła – zawsze jest trudne. Każdy człowiek o tym myśli, jednak szczere wypowiedzianie się, bez użycia masek czy rozmaitych sposobów dystansowania się, mimo zmian

obyczajowych nadal nie przychodzi nam łatwo. W wielu tekstach czeskich pisarzy pojawiają się kwestie, tematy wytrącające człowieka za stanu spokoju, jak na przykład śmierć, ukazywane jednak w sposób, który dzięki rozmaitym chwytom, budowaniu dystansu, umożliwia zmierzenie się z nimi i powiedzenie czegoś istotnego, wyjście poza stereotypy. Próby przekraczania pewnych utrwalonych granic zawsze niosą ze sobą ryzyko. Z jakimi reakcjami czytelników i krytyki spotkała się Pani po wydaniu tej książki w Czechach, w Polsce?

**PH:**

Przede wszystkim miałam z tym problemy jeszcze zanim książka się ukazała. Czytałam fragmenty moim rodzicom. Mama niemal na kolanach błagała mnie, żebym jej nie wydawała. Ostrzegała mnie, że zrujnuję sobie życie, opuści mnie mój przyjaciel, a nawet przewidywała, że babcia wyskoczy z okna... Na szczęście nic takiego się nie stało. Babci książka bardzo się podobała i przeczytała całą, w przeciwieństwie do mamy, która przebrnęła przez dwie strony i stwierdziła, że to jej zupełnie wystarczy, bo jest straszne. Od tego czasu zresztą już jej nie czytam moich książek. Reakcje krytyki, czytelników były pełne rezerwy. Zwłaszcza krytycy nie dotykali sedna – tematu, o którym piszę. Pływali raczej po powierzchni, woleli pisać o języku, chwalili neologizmy albo stwierdzali na przykład, że brakuje tam jednego wyraźnego wątku, porządku opowieści... Natomiast nie mówili o tym, o czym piszę. Wiadomo, że to trudny temat, dotyka kwestii etycznych – tymi konkretnymi zagadnieniami, tym, co chciałam przekazać raczej się nie zajmowano. W ogóle nie poruszano samego tematu seksualności. Jest w książce bardzo mocna scena pedofilii, opisując ją z punktu widzenia mężczyzny, z perspektywy człowieka, któremu się to podoba. Sądzę, że ten fragment jest bardzo dobrze napisany, udało mi się, ale jednocześnie jest okropny i był dla mnie bardzo trudny. Musiałam się w pewnym sensie mentalnie wcielić

w kogoś takiego i zrobić to tak, by brzmiało wiarygodnie. Bardziej interesowałoby mnie rozważanie, czy warto takie sceny opisywać, czy poruszać takie problemy, na ile otwierać drzwi, które może powinny pozostać zamknięte? W jaki sposób to robić? To mnie bardzo interesuje, o tym chciałabym dyskutować. Niestety, tego tematu krytyka nie podjęła, nikt o tej scenie nie wspomniał.

**DS:**

Myślę, że te pytania, które Pani sobie stawia, są widoczne w samej konstrukcji monologu bohaterki, w jej podejściu do tematu, do swojego zawodu. Opisując innych ludzi dotyka ona bowiem sedna – mówi o tym, że każdy z nas udaje, iż pewne sprawy go nie dotyczą, że tych problemów po prostu nie ma. A czy na spotkaniach z publicznością zdarzyło się, że ktoś te trudne tematy poruszył, zadał istotne pytanie, może nawet zaatakował?



Podczas spotkania. Od lewej: D. Siwor, Sz. Brandys (tłumacz), P. Hůlová i J. Marek

**PH:**

Rozmawiałam zarówno z ludźmi, którzy przyjmowali książkę entuzjastycznie, jak i z takimi, którzy byli zdęgowani, ale nie przypominam sobie, żebym prowadziła rozmowę dotyczącą konkretnych problemów poruszanych w książce, z nawiązaniem do poszczególnych scen... Wydaje mi się, że ludzie tego unikają.

Foto: Jaroslav Zięba

**JM:**

Nazywa Pani ten zdigitalizowany, nowoczesny, nieco zdehumanizowany świat, w którym rozgrywa się akcja powieści „digiświatem”. Przypomina mi on trochę rzeczywistość ukazwaną przez Michela Houellebecqa. W jego książkach zawarte są poważne diagnozy społeczne dotyczące współczesnego świata, które idą w parze ze śmiałymi scenami, przesyconymi erotyką opisywaną niemal na granicy dobrego smaku. Ma to oczywiście swoje uzasadnienie, nie chodzi przecież o to, by czytelnik odczuwał podniecenie, wręcz przeciwnie – by zobaczył, że koncentrujemy się na hedonistycznych doznaniach, a coś ważnego tracimy... Jesteśmy nastawieni na przyjemność, na nieśmiertelność, na niestarzenie się... Wydaje mi się, że podobny jest w Pani książce sposób mówienia o tym świecie, którego Pani chyba nie lubi, któremu ma Pani wiele do zarzucenia – co przede wszystkim jest w nim odpychającego?

**PH:**

Dziękuję za to porównanie z Houellebecqiem. To mój ulubiony autor. Piszę teraz książkę dotyczącą starzenia się kobiet – otwiera ją właśnie cytat z Houellebecqa.

Nie zgodziłabym się jednak ze stwierdzeniem, że nie lubię tego świata. Trudno mi to opisywać, ale chodziło raczej o pokazywanie pewnej rzeczywistości w inny sposób – nie językiem romansu czy językiem pornografii. Chciałam też pokazać, że coś mi się podoba, może być przyjemne – właśnie przez mówienie w inny sposób. Fascynuje mnie mechanizm żądzy z jednej strony, a z drugiej to, co nas uwodzi. Staram się w tej książce obnażyć banalność przyczyn tego wszystkiego, co się z nami dzieje w sferze seksualności. Problemem jest chyba to, że człowiek często pozostaje podporządkowany tej żądzy, która nami kieruje, popycha do czegoś, a nie potrafi spojrzeć z dystansem, nie widzi zasad działania tego mechanizmu.

Można to pokazać na przykładzie stereotypów erotycznych – najczęściej taki walor przypisuje się postaci pielęgniarki, opiekunki

do dzieci, a nie archiwistki czy bibliotekarki. W książce umieściłam scenę, w której obiektem pożądania staje się właśnie archiwistka, chcę w ten sposób postawić pytanie, dlaczego dzieje się tak, że jednym postaciom czy sytuacjom nadajemy ten erotyczny sens, a innym nie. Czy to my wytwarzamy stereotypy żądzy? W ten sposób też pokazuję śmieszność i banalność niektórych ludzkich zachowań wynikających ze schematyzmu właśnie.

**JM:**

Jerzemu Pilchowi archiwistka w tej roli bardzo by się podobała...

**DS:**

Skoro mówimy o sposobach opisywania świata nie można pominąć kwestii języka. Choć wspomniała Pani, że o tym właśnie najchętniej mówili krytycy unikając sedna, trudno się dziwić, że ta kwestia zwróciła uwagę. Wybrała Pani formę monologu prostytutki, co stwarza możliwość zanurzenia czytelnika w świecie wyobrażeń bohaterki, patrzymy na świat jej oczyma. Wzmacnia Pani ten efekt właśnie neologizmami, ale też prowadzi językowe gry oparte na skojarzeniach, które wywołuje sam kontekst. Zupełnie zwyczajne słowa nabierają od razu określonego – erotycznego właśnie sensu.

**PH:**

Od dłuższego czasu chciałam napisać książkę dotyczącą pożądania, wydawało mi się to interesujące. Są właściwie trzy główne powody powstania tej książki. Po pierwsze, czytałam wówczas prozę Elfriede Jelinek, która również porusza temat seksualności i stosuje podobne środki wyrazu. Jej książki uświadomiły mi, w jakim kierunku chciałabym podążać, jak o tym mówić. Drugi powód wiąże się z faktem, iż był to czas tuż przed moim ślubem. Uświadomiłam sobie, że właściwie niedługo utracę jakąś część mojej wolności, nie wszystko będzie mi wypadało zrobić czy powiedzieć. I to mnie zdenerwowało. Stwierdziłam, że nie chcę zrezygnować

z wolności w imię tak rozumianej odpowiedzialności. Trochę na przekór postanowiłam napisać coś ostrego, niekonwencjonalnego, sprzecznego z obrazem statecznej mężatki.

A trzecim powodem był Petersburg. Zaplanowałam sobie, że pojadę tam i będę pisać. Jak Dostojewski [śmiech]. Że w takim miejscu na pewno pisanie musi się udać. Spędziłam tam dwa miesiące, pisałam, ale nic się nie nadawało. Pojawiła się depresja... Aż pewnego dnia, gdy szłam ulicą pogrążona w pesymistycznych rozważaniach, usłyszałam jakby w głowie głos mojej bohaterki – prostytutki [śmiech]. Już wiedziałam jak ma to wyglądać, jak ona ma mówić. Wiedziałam, że właśnie w tym sposobie prowadzenia narracji tkwi potencjał. Wróciłam do mieszkania i wpadłam w prawdziwy ciąg twórczy – pisałam przez dziesięć dni i skończyłam tę książkę. Zadziałał moment olśnienia, ale myślę, że znaczenie miała też dwumiesięczna, ciężka praca, pozornie nieprzynosząca efektów. Była konieczna, żeby momentalne olśnienie mogło się zdarzyć.



Petra Hůlová i Jerzy Marek

**JM:**

Wróćmy do języka. Mam wrażenie, że ta intensywna wulgarność staje się środkiem do ośmieszenia i języka, i tego, co nazywa. Jest tak wulgarny, że aż w końcu przestaje taki być, staje się zabawny – jak u Tarantino. Czy taka była Pani intencja?

**PH:**

Jak już wspomniałam, chodziło mi o to, by pokazywać seksualność i cielesność zarówno w sposób wzbudzający pożądanie, jak i śmiech. Pojawiają się tam środki wyrazu, które mają wywołać podniecenie, ale równocześnie ujawnić komizm tych mechanizmów. Śmieszność była zatem celowa, mam jednak nadzieję, że jest nie tylko śmiesznie, że są tam fragmenty autentyczne, wywołujące pożądanie...

**DS:**

Dodajmy, że dostaje się tu wszystkim, kobietom i mężczyznom, niezależnie od wieku i tego, czym się zajmują. Można oczywiście dostrzec w sposobie opisu Pani sympatię dla człowieka, zrozumienie jego problemów, ale dominuje chyba dążenie do obnażenia podszewki naszych zachowań, jakby mówiła Pani swoim czytelnikom: zobaczcie, co sami przed sobą ukrywacie.

**PH:**

Tak, to prawda, podkreślam, nie chodziło mi o stereotypowe ujęcie postaci prostytutki. Zatem moja bohaterka nie jest ani biedną ofiarą, godną współczucia czy litości, ani obiektem zakazanej żądz; ale też nie przedstawiam tego tematu w uproszczonej perspektywie feministycznej, czyli zgodnie z założeniem, że wszystko jest winą mężczyzn myślących tylko o jednym, że to oni są źli i działają podstępnie, a biedne kobiety są jedynie ofiarami... Uważam to za kłamstwo. Zresztą feminizm jest według mnie zupełnie czymś innym. Sama uważam się za feministkę, ale rozumiem to inaczej, jako zainteresowanie relacjami między płciami i tym, jak obie płcie grają w swoistą grę, żeby się nawzajem poniżyć i ośmieszyć, żeby pokazać swoją przewagę. Wydaje mi się, to warte przemyślenia i dyskusji, a moim zdaniem o tym właśnie otwarcie się nie mówi. Interesujący jest też inny problem, ściśle z tymi zagadnieniami związany – chodzi mi o sytuację mężczyzn pozostających pod presją

kobiet. W konsekwencji przemian cywilizacyjnych, obyczajowych zmienia się ich pozycja społeczna – z uprzywilejowanej, dominującej na podporządkowaną. To współcześnie bardzo skomplikowane zagadnienie i bardzo interesujące, warte opisanie w perspektywie naukowej, socjologicznej czy psychologicznej. Niestety nie podejmuje się tej problematyki otwarcie, to ciągle temat tabu.

Właśnie w ubiegłym tygodniu słyszałam w kawiarni rozmowę dwojga młodych ludzi. Chłopak opowiadał o swoim znajomym, który opiekuje się dzieckiem w domu, a jego żona robi karierę zawodową. Na to dziewczyna zapytała, czy znajomy się nie boi, że mu żona ucieknie. Ta sytuacja dobrze obrazuje istotny problem w relacjach między kobietami a mężczyznami. Z jednej strony kobiety emancypują się, chcą, żeby mężczyźni przejmowali ich obowiązki, pomagali w domu, opiekowali się dziećmi. Jednocześnie jednak taki partner przestaje być dla nich atrakcyjny, zaczynają wykorzystywać sytuację, a nierzadko po prostu porzucają zdominowanego mężczyznę, gdyż nie spełnia ich oczekiwań jako ‘typowy’, tradycyjnie rozumiany mężczyzna właśnie. To rozdwojenie jest przyczyną dramatycznych sytuacji... Wydaje się, że niejako wbrew temu, co głoszą emancypujące się kobiety, w podświadomości ich samych działają utrwalone wyobrażenia dotyczące roli i wizerunku dominującego, ‘prawdziwego’ mężczyzny.

**DS:**

Ta tematyka budzi zainteresowanie także twórców w naszym kraju. Czy zna Pani książki polskich pisarzy współczesnych podejmujących ten temat? Czy inspirowały Panią w jakimś stopniu?

**PH:**

Mogłabym tu wymienić kilka nazwisk – przede wszystkim kobiet, reprezentujących młode pokolenie: Dorota Masłowska, Agnieszka Drotkiewicz, Justyna Bargielska, Sylwia Chutnik. Sporo ich książek zostało przełożonych na czeski. Nie są to jednak autorki,

których twórczość była dla mnie inspiracją – raczej interesują mnie poruszane przez nie tematy, czasem sposób, w jaki to robią.

**DS:**

Zwłaszcza proza Masłowskiej wydaje mi się tu dobrym punktem odniesienia, ponieważ eksponuje ona język, rozmaite gry i chwyt, wykorzystuje wulgaryzmy. Natomiast ze względu na podejmowany temat przywołałabym nazwisko Michała Witkowskiego i jego *Lubiewo*.

**PH:**

Tak oczywiście, znam tę książkę również, ale wśród inspiracji wymieniałabym jednak Houellebecqa i Jelinek.

**DS:**

A co sądzi Pani o określeniu ‘literatura kobieca’?

**PH:**

Nie bardzo podoba mi się taka klasyfikacja. Sugeruje ona bowiem, że jedyną podstawą identyfikacji, określania własnej tożsamości jest kategoria płci. Kobiecość staje się tu wyróżnikiem w obrębie literatury. To zdecydowanie za mało. Mężczyźni nie identyfikują się w ten sposób i nie są tak postrzegani. Zwłaszcza w odniesieniu do twórczości trudno uznać płęć za właściwą kategorię podziału. Można sobie z łatwością wyobrazić, że w gazecie pojawia się artykuł o debiutach trzech młodych autorek – punktem wspólnym jest tylko płęć. Gdyby chodziło o trzech debiutujących pisarzy, sam fakt, że są mężczyznami byłby niewystarczający, by ich ze sobą zestawiać. Musiałby się pojawić na przykład wspólny temat, który podejmują lub inny łączący ich element, ale nie sama płęć. A w przypadku pisarek sam fakt, że są kobietami staje się wystarczający. Uważam więc, że ‘literatura kobieca’ to termin, który nic nie wnosi, nie lubię go.

**JM:**

Wiele uwagi poświęciliśmy tu temu, co jest bulwersujące, prowokacyjne, ale warto podkreślić, że w tej książce są bardzo poetyckie fragmenty, które przypominają mi prozę Hrabala. Zwłaszcza ciągi obrazów, wynikające jedne z drugich bardzo mi się z jego metodą pisarską kojarzą. Mam też wrażenie, że ta książka kończy się trochę po Hrabalowsku...

**PH:**

Tak, myślę, że jest w tej książce potok słów, który napędza te wszystkie obrazy, to pewna energia w języku, ona właśnie, a nie klasycznie rozumiany wątek fabularny idący w określonym kierunku organizuje kompozycję. Właśnie za tym językowym prądem podąża czytelnik. Cieszę się, że to skojarzyło się Panu z Hrabalem, i dziękuję za to porównanie, bo to oczywiście zaszczyt...

Opracowanie: Dorota Siwor

*O spotkaniu na stronie [www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy](http://www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy):*

- *Ciało, stereotypy i digiświat. Spotkanie z Petřą Hůlovą (relacja)*



## O trudnej pamięci, Żydach, Czechach, Niemcach i Polakach

Z Radką Denemarkovą

rozmawiają Dorota Siwor i Jerzy Marek



**Dorota Siwor:**

Będziemy dzisiaj rozmawiać o książce *Pieniądze od Hitlera*, ale mamy też miłą niespodziankę. Dzięki uprzejmości wydawnictwa Amaltea możemy przedpremierowo zobaczyć nową powieść Radki Denemarkovej, *Przyczynek do historii radości*, w tłumaczeniu Olgi Czernikow. Piękne wydanie, nawiasem mówiąc. Być może i o niej usłyszymy coś od autorki.

Ale przejdźmy do tematu naszego spotkania. Chciałabym, aby opowiedziała Pani o genezie książki *Pieniądze od Hitlera*. Jak doszło do tego, że postanowiła się Pani zająć tym tematem? Czy książka ma jakiś kontekst biograficzny?

**Radka Denemarková:**

Trudne pytanie na początek. Podejmuję tematy tabu, ponieważ nie powinny być tematami tabu. Napisałam trzy książki, w których badam mentalność Czechów, mentalność Europy Środkowej: *Pieniądze od Hitlera*, *Kobold* i *A já pořád kdo to tluče*. We wszystkich tych książkach pojawia się postać Gity Lauschmann.

Opisuję życie bohaterów od narodzin do śmierci i są to historie, które opowiadają o tym, co to znaczy być ofiarą. Interesuje mnie problem etykietowania, piętnowania ludzi. A ponieważ urodziłam się w Czechach i czeski język jest moim językiem ojczystym, we wszystkich książkach odsłaniam kulisy rzeczywistości, w której żyję. Ale myślę, że takie historie zdarzają się nie tylko w Czechach. To jest sytuacja modelowa, która może się wydarzyć wszędzie, w każdym

miejscu na świecie, są to pewne prawdy uniwersalne. Interesuje mnie, dlaczego grupa ludzi, posiadająca pewną władzę, polityczną albo inną, zawsze znajdzie ofiarę, którą napiętnuje, i dzięki temu odreaguje swoje frustracje. Chciałam się też sprzeciwić pewnemu zjawisku, którego nienawidzę, zjawisku odpowiedzialności zbiorowej.

**DS:**

Może powiedzmy dwa słowa o samej książce. Jej bohaterka to młoda dziewczyna o skomplikowanej tożsamości. Jest Czeską niemieckiego pochodzenia, w dodatku o korzeniach żydowskich. Kiedy wraca z obozu koncentracyjnego w 1945 roku, zastaje swój dom zajęty przez czeskich sąsiadów, którzy nie tylko nie chcą jej we wsi widzieć, ale wręcz życzą jej śmierci i robią wszystko, żeby tak się stało. Opowieść zostaje doprowadzona do początków XXI wieku, tak więc śledzimy historię całego życia bohaterki, której los nie oszczędził traumatycznych doświadczeń także w późniejszych czasach.

**RD:**

Chciałabym uzupełnić, że istotne jest jeszcze to, że Gita jest dzieckiem, które nie rozumie, co się dzieje, nie ma pojęcia, dlaczego przydarza jej się to, co się przydarza. Żyła w zasymilowanej rodzinie, nie wiedząc o swych żydowskich korzeniach i nagle znalazła się w obozie koncentracyjnym. A po powrocie do domu sąsiedzi wmawiają jej, że jest Niemką i że należy do narodu morderców. Tak więc jest to historia człowieka, który boi się cokolwiek powiedzieć czy zrobić, bo zawsze może zostać napiętnowany i nie może się przed tym obronić.

Te sytuacje powtarzają się i mogą dotknąć każdego. Czytałam książkę o Pol Pocie i o jego polityce prześladowania intelektualistów. Ponieważ był kłopot ze zdefiniowaniem intelektualisty uznano, że

prześladować należy wszystkich ludzi noszących okulary. Tak więc owo piętnowanie nie musi dotyczyć narodowości czy wyznania.

Bardzo mi przeszkadza, że Czesi chętnie przyznają się do Franza Kafki, z którego w celach komercyjnych zrobili coś w rodzaju przynęty dla turystów. W ten sposób sytuują się w kręgu literatury światowej ale zapominają, że Kafka był pochodzenia żydowskiego i był twórcą literatury niemieckiej, więc gdyby żył dłużej, skończyłby w obozie koncentracyjnym. A gdyby miał szczęście i przeżyłby, zostałby przez nich po wojnie wygnany.

**DS:**

Proszę powiedzieć, czy historia Gity jest autentyczna, czy też jest to rodzaj fikcji stworzonej na podstawie ogólnie dostępnych informacji?



Radka Denemarková

Foto: Jaroslav Žižba

**RD:**

To są konkretne sytuacje tysięcy ludzi, ale oczywiście literatura potrafi dotknąć esencji, uniwersalizować zjawisko. Myślę, że jest to także problem współczesności i *Pieniądze od Hitlera* są również książką współczesną. W historii Gity interesowało mnie pytanie, dlaczego nie można doczekać się sprawiedliwości, upomnieć się o nią. Możemy sobie tego życzyć, ale jej się to nie udało i jest to

dla niej kolejne traumatyczne doświadczenie. Ma nadzieję, że może następne pokolenia coś w tej kwestii zrobić, ale to też się nie udaje, bo dzieci wychowane przez rodziców przejmują ich uprzedzenia, klisze, etykiety. I problem cały czas trwa.

À propos współczesności. Mam w Pradze bliskiego przyjaciela, którego kiedyś odwiedzili znajomi z Rosji i podczas wieczornego spaceru po Pradze natknęli się na grupkę Anglików, dość już pijanych, którzy słysząc język rosyjski pomyśleli, że spotkali Polaków. I od razu zobaczyli w nich ludzi, którzy im w Anglii zabierają pracę, zaczęli coś wykrzykiwać pod ich adresem – znowu ta odpowiedzialność zbiorowa. Przyjaciel podarował Rosjanom książkę *Pieniądze od Hitlera* i powiedział, że to się wszystko łączy. Gdyby Gita żyła w czasach inkwizycji, działałoby się to samo. Dlatego mówię, że jej sytuacja jest modelowa.

Interesuje mnie, dlaczego nie możemy zatrzymać tego procesu, rozwiązać problemu. Dawno jest już po wojnie, a ludzie wciąż posługują się tymi samymi stereotypowymi sądami i etykietami, głoszą te same antysemickie, rasistowskie i nacjonalistyczne hasła.

**DS:**

Wraca tutaj temat, który wielokrotnie podejmowaliśmy w czasie naszych spotkań, problem stereotypów. Miałam zamiar zapytać Panią, dlaczego – skoro sam temat Niemców sudeckich jest tak trudny dla Czechów, o czym rozmawialiśmy z Mariuszem Suroszem i *Davidem Vondráčkem* – komplikuje Pani tę trudną sprawę jeszcze wątkiem holokaustowym, ale po części już Pani o tym opowiedziała. Zapytam o coś innego. Czy relacje z Niemcami i z Żydami są dla Czechów ważne w kontekście tożsamości narodowej?

**RD:**

Ten problem jest wciąż aktualny, ponieważ jest wygodny dla populistów, od Klausea do Zemana. Muszę powiedzieć, że wszyscy

mieli problem z moją książką, i Czesi, i Niemcy, i Żydzi. Nauczyłam się dzięki temu, że nie istnieje solidarność ofiar. Podczas spotkania autorskiego w Niemczech, jakiś uczestnik, potomek wypędzonych, pytał mnie, dlaczego moja bohaterka, Niemka, jest też Żydówką? Musiałam wyjaśniać cały kontekst, że wypędzenie Niemców miało przecież jakąś przyczynę, jakiś związek z narodowym socjalizmem, że Organizacja Narodów Zjednoczonych dopiero w latach 50. postanowiła, że nie wolno na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej wypędzić całego narodu. W Czechach z kolei muszę przypominać, że pod koniec wojny okrucieństwa wobec Niemców nie były konieczne.

Ja konstrukty historyków czy polityków odrzucam, wkładam do szuflady. Literatura modeluje sytuacje ludzkie i jej zadaniem jest w sposób emocjonalny i sugestywny odtworzyć to wszystko poprzez język.

**DS:**

Myślę, że to jest nasza ludzka skłonność, że kiedy jesteśmy świadkami prześladowania, chętnie uznajemy, że na pewno jest jakiś powód. W ten sposób uspokajamy się, że nas to nie mogłoby dotyczyć.

**JM:**

Pani książka ukazała się w 2006 roku. Wcześniej o sudeckich Niemcach pisał Bohumil Hrabal...

**RD:**

Hrabal i Daniela Hodrová.

**JM:**

Film *David Vondráčka Zabíjení po Česku, o którym wiemy, że wstrząsnął Czechami*, pojawił się dopiero w 2010 roku. Ciekaw jestem, jak Czesi zareagowali na *Pieniądze od Hitlera*? Czy byli



poruszeni, czy też wściekli, że dotyka Pani niewygodnych tematów? Czy może potraktowali książkę jako pretekst do rozliczeń z własną przeszłością?

**RD:**

Przede wszystkim byłam zaskoczona odbiorem, bo wydawało mi się, że napisałam książkę dla pięciu intelektualistów. Pierwsze reakcje były raczej historyczne, okazało się, że nasze społeczeństwo nie dojrzało do podejmowania tak trudnych tematów.

Z czasem nastąpiła pewna zmiana, zaczęto o tym problemie mówić. Literatura także zaczęła się tym tematem bardziej interesować, najczęściej jednak w sposób uproszczony i w dość kiczowatej formie. Koncentrowano się na krzywdach, jakie Czesi wyrządzali Niemcom i często zupełnie pomijano kwestię nazizmu, a to jest bardzo niebezpieczne.



Podczas spotkania

Niektórym przeszkadzało, że podejmuję żydowskie tematy, innym że niemieckie, jeszcze innym, że tylu ludzi oddało życie za pokój i wolność, a ja ujmuję się za nazistami i ukazuję ich jako ofiary. Zupełnie zaskakująca była reakcja krytyki literackiej, która chwaliła język, chwaliła styl, ale jeśli chodzi o temat zasugerowała, że mogłabym się zająć czymś innym. Ta książka nauczyła mnie

bezkompromisowości, uświadomiła mi, że muszę robić swoje, iść własną drogą.

Dzięki przekładom lubię śledzić, jak *Pieniądze od Hitlera* funkcjonują w innych obszarach językowych. Na przykład w Niemczech interpretowano ją jako opowieść o uchodźctwie. Gita była tu uchodźcą, który nie może znaleźć swojego miejsca w świecie. Bardzo mnie to zaskoczyło, ale autor nigdy nie ma wpływu na to, jak jego książka zostanie odebrana i zinterpretowana.

**JM:**

Czy to znaczy, że to właśnie Czesi nie dojrżeli do dyskusji o swojej przeszłości, czy też jest to przypadek wszystkich społeczności, wszystkich narodów?

**RD:**

Coraz bardziej skłaniam się do poglądu, że jest to problem wszystkich narodów. Czesi długo myśleli, że byli wyłącznie ofiarami, więc żeby pokazać, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, trzeba było pewne rzeczy ponazywać, bo to może uzdrowić społeczeństwo. Ale powtarzam, nie jest to problem jedynie Czechów. Bardzo lubię takie mikro sytuacje: na przykład w tłumaczeniu na język hebrajski chciano usunąć jedno zdanie, mówiące o tym, że na początku lat 30. Żydzi w Niemczech mogli sobie kupić papiery honorowych aryjczyków. Zawsze są jakieś pokusy wypierania faktów i cenzurowania rzeczywistości.

**JM:**

To ciekawe, bo my tak o Czechach raczej nie myślimy. Czy śledziła Pani polskie dyskusje na temat Jedwabnego? Część Polaków zareagowała historycznie i sędzę, że także z tego powodu, że my nie myślimy o sobie jako o sprawcach zbrodni, chcemy widzieć się wyłącznie jako ofiary. Problem relacji czesko-niemieckich po drugiej wojnie jest bardzo podobny do naszych sporów o Jedwabne.

**RD:**

Oczywiście, znam sprawę Jedwabnego. Widzenie siebie jako niewinnej ofiary to nie przypadek jednego tylko narodu. Literatura dlatego jest tak wspaniała, że pozwala przyglądać się takim sytuacjom z pozycji każdego człowieka i ukazywać wielowymiarowość rzeczywistości. Kiedy pracowałam w „Divadle Na zábradlí”, robiliśmy inscenizację dramatu Thomasa Bernharda *Plac Bohaterów*, opowiadającego o powrocie żydowskiej rodziny do Wiednia. Okazuje się, że Austriacy też chętnie widzą w sobie ofiarę, chociaż przecież austriaccy naziści zajmowali w III Rzeszy wysokie stanowiska.

W trakcie pierwszej czytanej próby przedstawienia, które nawiasem mówiąc interpretowaliśmy także jako opowieść o nierozliczeniu się z komunizmem, ktoś opowiedział historię o pogromie Żydów i cyklistów w Rosji. I wszyscy pytali zdziwieni: dlaczego cyklistów? A ja zapytałam: a dlaczego Żydów?

To są bardzo skomplikowane problemy. Obok antysemityzmu istniał też antyjudaizm, który był oparty przede wszystkim na kulturowej i religijnej niechęci do Żydów, więc mieli oni przynajmniej teoretyczną szansę przejścia na chrześcijaństwo i ocalenia. Natomiast naziści budowali tę niechęć przede wszystkim w oparciu o rasistowskie prawa biologiczne. To odbierało Żydom jakąkolwiek szansę uniknięcia losu. Stracili podmiotowość i stali się przedmiotem zagłady i w dodatku po śmierci ich ciała były wykorzystywane jako surowiec.

**JM:**

Ale problem polega na tym, że w *Pieniądzech dla Hitlera* bohaterami nie są ludzie zideologizowani. Nie są to antysemita czy naziści, tylko ludzie zwyczajni, tacy jak my.

**RD:**

W tym względzie jestem pesymistką. Większość osób, które nie mają informacji i posługują się etykietami, stereotypami, w obliczu

zagrożenia kieruje się strachem. Pod jego wpływem zachowują się tak, jak moi bohaterowie: piętują, odrzucają i posuwają się do przemocy. Psychologia dominuje nad polityką, nad ekonomią. Ludzie potrzebują sprawnie działającego państwa i prawa, a kiedy one ulegają rozregulowaniu albo zawieszeniu, jak na przykład w czasie wojny, czują się bezkarni i sądzą, że mogą zrobić wszystko. Jakby nie mieli wewnętrznego poczucia moralności. W książce krzywdę bohaterce wyrządzają jej sąsiedzi.

To dla mnie bardzo ważna kwestia: czy większość ludzi jest zła. Z pewnością istnieje psychologia tłumu. Kiedy ktoś przybiegnie i krzyknie, że ludzie w jakimś rodzaju ubrania są członkami groźnej sekty, a w dodatku w tym samym czasie zostałyby zabite jakieś dziecko i powiedziano by, że ta sekta używa krwi do swoich rytuałów, z pewnością doszłoby do linczu. Ludzie w takich sytuacjach przestają myśleć samodzielnie.



Dorota Siwor

Foto: Jarosław Zięba

**DS:**

Czytając Pani książkę miałam oczywiście świadomość, że ten kontekst historyczny jest bardzo ważny, ale że tu nie chodzi tylko o Czechów czy Niemców, tylko o nas wszystkich. Myślę jednak, że w *Pieniądzech od Hitlera* sytuacja jest jeszcze bardziej

skomplikowana. Tutaj postawy bohaterów są zróżnicowane, ale nikt nie jest całkowicie niewinny i nikt nie jest wyłącznie winny.

Ciekawe, że w pewnych okolicznościach człowiek umie stworzyć taki rodzaj argumentacji, który jest w stanie wytłumaczyć wszystko, nawet zło nazwać dobrem. Na przykład Ladinek, tak ojciec o tym imieniu, jak i syn, są przekonani, że działają dla dobra społeczności, bo chronią ją przed roszczeniami jakiejś okropnej Niemry, która chce biednym mieszkańcom wioski odebrać majątek, który im się tak naprawdę należy. Jakieś dziwne procesy zachodzą w ich głowach.

**RD:**

Ma pani rację. Nienawidzę wyjaśnienia, którym posługuje się wielu ludzi, że takie były czasy. Nie, winni są konkretni ludzie. Nieważne, czy ktoś jest Polakiem, czy Amerykaninem, Włochem czy Żydem, nazistą, komunistą czy dysydem, najważniejsze, jak się zachowuje jako człowiek.

**DS:**

Ale czy w takim razie odpowiedzią jest w jakimś sensie postawa Gity, jej bardzo mocna samokontrola? Gita w swoim dojrzałym życiu stara się nie okazywać emocji, bo byłyby tak negatywne, że mogłyby zniszczyć wszystkich wokół i ją samą.

**RD:**

Chciałam skomplikować tę postać. Gita w opozycji do wszystkich klisz literackich, każących ukazywać ofiarę jako niewinną, jest niesprawiedliwa dla swojej rodziny, jest labilna. Ale pamiętajmy, że ona przede wszystkim chce, żeby ją ktoś przeprosił, bo jest jej to niezbędne dla uzyskania wewnętrznego spokoju. Widzimy, jak bardzo trudno jest przebaczyć i jak ciężko się z tym rozliczyć. Dopóki tego człowiek nie zrobi, nie będzie mógł normalnie żyć.

**DS:**

Nienawiść niszczy, uniemożliwia normalne życie.

**RD:**

Tak. Jej wystarczyłoby, żeby ją przeproszono. Nie jako Żydówkę, czy Niemkę, ale jako człowieka, któremu została wyrządzona krzywda. Czeka na to całe życie i nie doczeka się. Może słowa Grahama Greene'a, których użyłam jako motto do powieści, mogłyby być tu komentarzem: „Czy nie mamy do wszystkich swoich postaci takiego mniej więcej stosunku: to jestem ja i niech mi Bóg wybaczy?”

**JM:**

Dla mnie interesujące było, że Gita nie jest miłą postacią. Nie tylko dlatego, że krzywdzi swoją rodzinę, ale także dlatego, że ma – można powiedzieć – patologiczne wręcz myśli. Jest lekarzem-patologiem i już jako dorosła osoba miewa niepokojące wizje, że kroi swoich prześladowców, wypruwa z nich wnętrzności skalpelem. To jest ciekawe, że w Pani książce nie ma prostego podziału na niewinne ofiary i zwyrodniałych sprawców. Ja nie polubiłam Gity.

**RD:**

Nie zgadzam się na słowo „patologiczne”. Jest to jej wewnętrzny odruch obronny, kiedy staje twarzą w twarz ze zbrodniarzami, którzy chcieli ją zabić naprawdę. A ona przecież nikogo nie zabija. To są tylko myśli.

**DS:**

Ale to pozwala postawić pytanie, czy Pani zdaniem jest możliwe, że gdyby zaszły pewne okoliczności, z każdego człowieka może wyjść zło? Czy jednak są tacy, którzy będą się trzymać w ryzach? Będą prowadzić monolog wewnętrzny, w którym ćwiartują swojego wroga, ale nie uczynią nic złego?

**RD:**

To właśnie jest bardzo interesujące, jak jednostka wydawałoby się dobra, w dramatycznych momentach potrafi zapomnieć o swoich zasadach moralnych. Niestety, myślę, że większość ludzi w takiej sytuacji przystosowuje się do warunków. Najlepiej tej problem ukazała Hannah Arendt w książce *Eichmann w Jerozolimie*, gdzie mówi o „banalności zła”. Czasy powodują, że zwyczajni ludzie stają się zbrodniarzami. Trzeba wielkiej odwagi, żeby się takiemu złu przeciwstawić.

Chciałabym przypomnieć postawę prezydenta Masaryka, który w 1900 roku w bardzo nielicznym gronie protestował przeciwko bezzasadnemu oskarżeniu Leopolda Hilsnera o rytualne zamordowanie chrześcijańskiej kobiety. Wystąpił przeciwko rozhisteryzowanej większości i doprowadził do powtórzenia procesu. Oczywiście spotkał się z wielką nienawiścią czeskiego społeczeństwa.

W moim utworze jedną z bohaterek jest matka, która ocaliła życie Gity, ale nigdy nikomu o tym nie opowie, bo boi się, że wieś ją odrzuci, czy nawet zabije.

**DS:**

Myślałam o tej postaci, ponieważ też wcale nie jest jednoznaczna. Pani tak prowadzi narrację, że możemy myśleć, iż jest w niej opór przeciwko złu. Ale możemy też podejrzewać, że ratuje Gitę, bo boi się, że jej śmierć położyłaby się przekleństwem na dziecku, które właśnie ma urodzić.

**JM:**

Ja miałem wrażenie, że ta kobieta nie chce brać na siebie odpowiedzialności za jej śmierć. Pamiętajmy, że już wcześniej zabito brata Gity. Ona być może uwalnia dziewczynę z nadzieją, że tym razem zrobi to ktoś inny. Ale porzućmy te interpretacje.

Porozmawiajmy o języku powieści. Wspomniała Pani, że czescy krytycy chętnie pisali o stylu i muszę powiedzieć, że wcale im się nie dziwię, bo jest to język niezwykle, gęsty, silnie zmetaforyzowany, zwłaszcza w pierwszej części, która jest stylizowana na pamiętnik Gity. Istnieje ogromny kontrast pomiędzy urodą języka a drastycznością zdarzeń.

**RD:**

Lubię język, który wchodzi pod skórę. Studiowałam filozofię i uczono mnie, że kiedy pisze się o poważnych sprawach, należy robić



Radka Denemarková

to klarownym stylem, unikać emocji, dążyć do obiektywizacji. A ja lubię ryzykować. Mój język jest nieprzyjemny, fizyczny, jest pewnego rodzaju buntem przeciwko wszystkim istniejącym kalkom i kliszom. Język ma stawać kością w gardle. Ale jeśli chce się w literaturze przekazywać emocje, trzeba paradoksalnie pisać z absolutnie chłodną głową, stać nad językiem z biczem, dodawać pęsetą słowo do słowa, żeby czytelnika wciągnąć w swój świat. Ten język mnie w pewnym sensie niszczył.

**DS:**

To wielki problem, jak mówić o tego rodzaju traumatycznym doświadczeniu. Dziennik Gity czyta się trudno, nie ze względów językowych, ale dlatego, że mamy do czynienia z bardzo intensywnymi emocjami, które są trzymane w ryzach. Czytelnik daje się w ten świat wprowadzić. Później konwencja trochę się zmienia i mamy do czynienia z narratorem wszechwiedzącym. Jaki był cel tej zmiany?

**RD:**

To jest ważne pytanie, jak opisywać nieopisywalne, niewyraźne.

**JM:**

I nie wpaść w banał czy sentymentalizm.

**RD:**

No właśnie. Czytałam dziesiątki książek o Holokauście i większość z nich była straszliwie kiczowata. Niewielu pisarzom udało się tego uniknąć. Swoją język znaleźli z pewnością Imre Kertész, Primo Levi, Jean Améry czy Tadeusz Borowski. Muszę powiedzieć, że zawsze alergicznie reagowałam na zdanie Theodora Adorno, że po Oświęcimiu poezja jest niemożliwa. To jest bezsensowna teza. Oczywiście, że należy pisać. Tylko trzeba znaleźć odpowiedni język.

W pierwszej części mojej książki wybrałam narrację pierwszoosobową, żeby czytelnik mógł się z Gitą utożsamić, wejść w jej emocje. Natomiast druga część to jakby dramat antyczny, z bohaterką i chórem, dla którego wszystko jest zupełnie jasne, bo on wszystko upraszcza. Obserwuję z dystansu, jak historia znów się powtarza, bo Gita, z racji swoich doświadczeń nie potrafiłaby zdobyć się na dystans. Mieszkańcy wioski to współczesne czeskie społeczeństwo, w którym tak naprawdę nic się nie zmieniło. Dlatego Gita nie może wrócić.

**DS:**

Cały czas mamy w powieści do czynienia z pytaniem „skąd zło”. Jak Pani, jako autorka, widzi ten problem? Czy można w ogóle udzielić takiej odpowiedzi?

**RD:**

Mam poczucie, że zło bierze się z elementarnej głupoty, która charakteryzuje sporą część ludzi i która jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Jeśli w dodatku komuś brakuje empatii, nie potrafi wczuć się w sytuację drugiego człowieka, skłonny będzie do ulegania stereotypom i historia wciąż się będzie powtarzać.

Ale jest pocieszające, że zawsze znajdują się wyjątki, które myślą krytycznie i zachowują się przyzwoicie. Gdyby ich nie było, nie byłoby nadziei na powstrzymanie tej głupoty. Kiedy jestem pytana w Czechach, dlaczego zajmuję się Holokaustem, zawsze odpowiadam, że dla mnie jest skandalem, że na coś takiego pozwoliliśmy w naszej kulturalnej, cywilizowanej Europie. I że musimy robić wszystko, żeby to się nie powtórzyło.

Przypomniało mi się zdanie z jednego z opowiadań mojego ulubionego, niestety trochę zapomnianego słowackiego pisarza, Leopolda Laholi: „Brakuje jeszcze dnia do stworzenia człowieka”.

**DS:**

Powiedzmy jeszcze na koniec kilka słów o nowej książce, *Przyczynek do historii radości*. Mam wrażenie, że tylko pozornie zmienimy temat – tu też interesuje Panią zło obecne w ludzkiej naturze.

**RD:**

To jest powieść, w której rzeczywistość jest obserwowana z perspektywy jaskółek. Potrzebowałam punktu widzenia kogoś, kto potrafi swobodnie się przemieszczać. Jaskółki okrążają kulę

ziemską i nie mają świadomości, że na dole istnieją różne narody i płeć, granice państw, podziały religijne...

I znów pomogła mi tu Gita Lauschmann. Na jednym ze spotkań autorskich w Niemczech pewien człowiek zapytał mnie agresywnie, kiedy w końcu Czesi wypłacą odszkodowania wypędzonym Niemcom. Odpowiedziałam, że jestem pisarką, nie politykiem, ale on nie przestawał mnie atakować, więc spontanicznie zapytałam, kiedy odszkodowania dostaną wszystkie zgwałcone przez żołnierzy kobiety? A on na to: no ale przecież tylko zgwałcone. Słowo „tylko” wzięłam sobie z tego spotkania do domu, bo ciągle mnie paliło wewnątrz. Ciekawe, że czeskie słowo „jen” (tylko) w języku chińskim oznacza jaskółkę. To są takie moje zabawy językowe, które niestety w większości przekładów się gubią, chociaż muszę przyznać, że moja polska tłumaczka, Olga Czernikow, jest znakomita.

Chciałabym na zakończenie powiedzieć, że to spotkanie dedykuję Marcie i przeczytać motto z mojej nowej książki. Są to słowa Ludwiga Wittgensteina:

„Żaden krzyk rozpaczy nie może zabrzmieć głośniejszy, niż krzyk jednego człowieka. Ani żadne cierpienie nie może być większe niż to, którego doświadcza jeden człowiek. Cała kula ziemską nie może doświadczyć większego cierpienia niż to, którego doświadcza jedna jedyna dusza”.

Opracowanie: Jerzy Marek

*O spotkaniu na stronie [www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy.pl](http://www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy.pl)  
– Skąd bierze się zło? (relacja)*



## Pomiędzy nami. Polacy i Czesi w wieku XX i współcześnie

Z Miroslavem Karasem

rozmawiają Dorota Siwor i Jerzy Marek



### **Dorota Siwor:**

Jak to się stało, że zainteresował się Pan Polską i polskimi sprawami? Czy jakąś rolę odegrał tu fakt, że urodził się Pan w Karwinie?

### **Miroslav Karas:**

Nie miałem z Polską nic wspólnego prócz tego, że urodziłem się kilkadziesiąt kilometrów stąd. Wyjeżdżając tu w 1992 roku nie znałem nawet słowa po polsku, co zresztą zemściło się na mnie zaraz następnego dnia. Miałem w Warszawie kolegę z agencji prasowej (w języku czeskim agencja to „agentura”) i przedstawiając go dziennikarzom, bardzo nieprzychylnym reżimom, które kiedyś rządziły w naszych krajach, powiedziałem, że to mój kolega z agentury. Wszyscy zaczęli się od nas odwracać, nikt nie chciał z nami rozmawiać, a jedyny wtedy znajomy mi Polak miał pretensje, że narobiłem mu kłopotów.

To była jedna z moich pierwszych przygód w Polsce. Kiedy tu przyjeżdżałem, niewiele o Polsce wiedziałem. Miałem kilkoro przyjaciół we Wrocławiu, gdzie do dziś istnieje „Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka”, oprócz tego wiedziałem rzecz jasna o „Solidarności”. W 1992 roku dostałem propozycję wyjazdu na trzy lata do Warszawy, żeby relacjonować wydarzenia z Polski dla publicznego czeskiego radia, a później telewizji. I zostałem tu na dwadzieścia lat. Od 2012 roku przebywałem w Rosji, a teraz znów

wróciłem do Polski. Muszę powiedzieć, że jestem szczęśliwy, bo bardzo dobrze się tu czuję.

**Jerzy Marek:**

Proszę powiedzieć, czy Pan, urodzony w Karwinie, nie miał poczucia życia na pograniczu? Nie miał Pan żadnych relacji, językowych czy towarzyskich, z Polakami, z mniejszością polską w tamtym rejonie?

**MK:**

Nie, nie miałem. Oczywiście mogliśmy oglądać w domu polską telewizję, miałem też jakieś kontakty z uczennicami z polskiego liceum w Czeskim Cieszynie. Grałem w teatrzyku i udzielałem się w kółku recytatorskim w liceum w Orlovej, gdzie czasem zapraszało się uczennice z Cieszyna. Ale w wieku siedemnastu lat wyjechałem do Pragi i dziś bardziej czuję się prażaninem niż człowiekiem pogranicza.

**JM:**

Tak więc to, że zainteresował się Pan Polską nie wynikało z jakichś osobistych preferencji?

**MK:**

To był zupełny przypadek. W 1992 roku było już wiadomo, że dojdzie do rozpadu Czechosłowacji i że na placówce w Warszawie potrzebny będzie korespondent nowopowstałego Czeskiego Radia. A ponieważ zajmowałem się polityką zagraniczną, zaproponowano mi to stanowisko. Wszyscy wtedy chcieli wyjeżdżać na Zachód, więc koledzy pytali mnie, co złego zrobiłem, że wysłała się mnie do Polski, ale ja to traktowałem jako w pewnym sensie wyróżnienie i teraz też myślę, że to był bardzo dobry wybór.

**DS:**

Jaki jest Pana zdaniem obraz Polski i Polaków w Czechach?

**MK:**

To zależy czy dzisiaj, czy w czasach komunizmu? Bo to jest olbrzymia różnica. Mówiłem już, że koledzy sądzili, że wysłała się mnie do Polski za karę. Powiedzmy szczerze, Polska nie wydawała się wtedy Czechom krajem atrakcyjnym, ani dla turysty, ani dla korespondenta. Zawsze patrzono na północnych sąsiadów niezbyt przychylnie. Widziano w Polakach handlarzy, a moi rodacy nie rozumieli, że to jest po prostu przedsiębiorczość, która później pozwoliła Polsce osiągnąć sukces. Myślę, że Czesi byli po prostu leniwi, nie przychodziło im do głowy, że można sprzedawać jabłka z własnego sadu stojąc przy Škodzie MB z otwartym bagażnikiem. Takie obrazki w Polsce bardzo ich dziwiły. Czech jest z natury bierny i może jest tak nawet do dzisiaj.



Miroslav Karas

Foto: Jaroslav Zięba

Chcę przypomnieć, że po 1989 roku, za czasów premiera Klaus, granica polsko-czechosłowacka była jeszcze jakiś czas

zamknięta, z obawy przed najazdem Polaków, którzy zjawia się u nas i wszystko wykupią. Ci, którzy dopominali się o otwarcie granicy pytali, w jakim celu w latach 70. i 80. spotykali się na niej polscy, czescy i słowaccy opozycjoniści? Przecież nie po to, żeby znów się od siebie odcinać. Ta sytuacja nie trwała długo, wiele jednak mówi o nas i o naszych stosunkach we wczesnych latach 90.

Kiedy przyjechałem do Polski, wciąż żywe były stereotypy. W oczach Czechów Polacy byli ludźmi unikającymi pracy, handlarzami i przemytnikami. To również efekt komunistycznej propagandy, bo na przykład kiedy w latach 80. brakowało u nas węgla tłumaczono, że to z winy leniwych, strajkujących Polaków. Nie mówiono nam, że tak walczyła „Solidarność”. Czech z kolei chętnie prywatnie krytykował komunizm, ale swoją pracę bardzo lubił, lubił też pomalować gwiazdę na czerwono. Jednak nie mogę zgodzić się z polskim stereotypem, że Czesi są tchórzami. Polacy niewiele wiedzą o Janie Žižce, o husytach, a przede wszystkim o udziale Czechów w drugiej wojnie światowej. Polacy mówią tylko o swoim bohaterstwie. A pamiętajmy, że to Czesi i Słowacy zorganizowali i przeprowadzili zamach na protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha, najbardziej spektakularną akcję w całej okupowanej Europie.

Inny stereotyp dotyczy religii. Nie jest prawdą, że w Czechach żyją sami ateści. Po prostu różnica między nami polega także i na tym, że Czesi nie mają w zwyczaju manifestować swojej religijności, którą uznają za sprawę osobistą, intymną. Pytania o wiarę czy o praktyki religijne uważane są u nas za niestosowne.

**DS:**

Wynotowałam ze statystyk, że w spisie ludności z 2011 roku w Czechach aż 45% respondentów odpowiedziało, że nie chce mówić, jakie jest ich wyznanie.

**MK:**

No właśnie. Czesi uważają, że to jest prywatna sprawa każdego człowieka i nawet wśród przyjaciół nie wypada o to pytać. Nie powinno się w ten duchowy świat ingerować.

Stereotypy biorą się z niewiedzy, a w czasie komunizmu nie wiedzieliśmy o sobie nic, ani po jednej, ani po drugiej stronie granicy. Wina leży oczywiście po obu stronach. Dziś wiemy o sobie trochę więcej, ale część tych stereotypów nadal funkcjonuje. W czasie podobnej dyskusji padło kiedyś pytanie co nas łączy, Czechów i Polaków? I mój przyjaciel odpowiedział: łączy nas granica. To bardzo trafny paradoks.

Kiedy zaczynałem pracę w Polsce zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą – choć bardzo nie lubię tego słowa – pewnego rodzaju misję. Jestem dziennikarzem politycznym, ale często w swoich komentarzach starałem się ukazywać zwyczajną Polskę. W Czeskiej Telewizji istnieje program „Obiektyw”. Pokazuję w nim swoim rodakom różne małe miejscowości, które mi się podobają, Polskę zwykłych ludzi. Może przyczyniłem się w jakimś małym stopniu do tego, żebyśmy mogli patrzeć na siebie inaczej niż przez pryzmat stereotypów. Pamiętajmy jednak, że walka z nimi jest naprawdę bardzo trudna, to jest zadanie na długie lata. Chociaż z doświadczenia rodzinnego wiem, że młode pokolenie patrzy na nasze relacje już bardziej obiektywnie.

Bardzo jestem szczęśliwy, że w polskiej świadomości Czechy też zaczynają funkcjonować inaczej niż przed rokiem 1989.

**DS:**

Zauważył Pan, że nastąpiła tu zmiana. Jak więc ocenilby Pan nasze relacje dziś?

**MK:**

Musimy brać pod uwagę fakt, że dzisiejsza Polska, Polska roku 2016, jest specyficznym krajem. Według zdecydowanej większości



czeskiego społeczeństwa i czeskich mediów dzisiejsza polska polityka idzie w kierunku – powiem to delikatnie – którego Czesi nie rozumieją.

Większość Czechów uważa Polskę za kraj bardzo katolicki, ale polski katolicyzm jest odczuwany w Czechach jako zjawisko ściśle związane z polityką. Ostatnio przygotowywałem dla czeskich mediów relację o „czarnym proteście”. Przeciętny Czech dobrze rozumie powody protestów tych kobiet i dziwi go, że niektórzy posłowie forsują ustawy tak radykalnie prokościelne. Według nas aborcja czy rodzenie dzieci „zdeformowanych”, jak to określił jeden z polskich polityków, to jest sprawa sumienia, nie prawa.



D. Siwor, M. Karas i J. Marek

Tak więc jeden z najbardziej liberalnych narodów Europy ma czasem problem ze zrozumieniem tej bardzo konserwatywnej polityki. Mówię oczywiście o przeciętnym Czechu, który – dodajmy – nie rozumie też stylu walki politycznej w Polsce. W Czechach pewna część społeczeństwa nie lubi, a nawet można powiedzieć, że nienawidzi prezydenta. Ale walka między częścią społeczeństwa, rządem i prezydentem choć jest ostra, nie jest brutalna i nie jest nieetyczna. W Polsce natomiast walki polityczne są tak brutalne, że mogą wywoływać niesmak. Czecha mogą szokować niektóre wypowiedzi wychodzące z ust części polskich wpływowych

polityków. Nie tylko ze względu na brutalność, ale też na anachroniczność myślenia.

Przez długie lata Czesi patrzyli na Polskę z podziwem, bo w miarę spokojnie przetrwała światowy kryzys finansowy, bo nareszcie dała sobie radę z autostradami, bo otworzyła się na świat. Niestety przyszła pora, że Polska znów się zamyka, wszędzie widzi wrogów, szuka winnych, szuka zemsty i utrudnia życie zwyczajnym ludziom. Rosną też nastroje nacjonalistyczne, które w dodatku mają spore poparcie obecnej władzy.

#### JM:

Nacjonalizm jest oczywiście w Polsce problemem, ale czy ma Pan wrażenie, że w Czechach tego problemu nie ma? Ciekaw też jestem, jak władza reaguje na antyromskie czy antyuchodźcze wystąpienia.

#### MK:

Oczywiście, że i u nas występuje ten problem. Choć trzeba powiedzieć, że jeśli chodzi o niechęć do Romów, wydaje mi się, że nie jest już ona tak silna jak kilkanaście lat temu. Romski temat jest bardzo skomplikowany i specyficzny, choćby dlatego, że mówimy o ogromnej liczbie ludności. W Polsce Romów jest około 10-15 tysięcy, kilkanaście razy mniej, niż w Czechach. Ale zostawmy ten temat.

Rzecz jasna, nacjonalizm w Czechach istnieje, jest także nacjonalistyczna partia, która głosi hasło „Czechy dla Czechów” i jak na ironię ma w nazwie słowo Robotnicza (*Dělnická strana*). Tyle że jest to margines potępiany przez większość społeczeństwa. I w tym widziałbym ważną różnicę między współczesną Polską i Czechami.

#### JM:

U nas do niedawna też był to margines.

**MK:**

Po czterech latach nieobecności w Polsce obserwuję, że nacjonalizm rośnie tu w siłę. Moim zdaniem dlatego, że od pewnego czasu istnieje wśród niektórych polityków w Polsce przyzwolenie na hasła nacjonalistyczne. W Czechach niedawno nacjonalistyczny polityk został skazany na rok więzienia za głoszenie hasel antysemickich. Nie wiem, czy taki wyrok zapadłby dziś w Polsce. Tutaj prokuratura często nie dostrzega niczego niewłaściwego w faszystowskich gestach czy symbolach. A elity polityczne nie odcinają się jednoznacznie od tych środowisk, traktują je wręcz jako wzór patriotyzmu.

Czesi, w przeciwieństwie do Polaków, nie mają potrzeby licytowania się, kto jest większym patriotą. Niechętnie rozmawiamy o patriotyzmie, choć go rzecz jasna czujemy. W Polsce często odmawia się patriotyzmu przeciwnikom politycznym.

**JM:**

Może uściślijmy, że robi to tylko jedna opcja polityczna.

**MK:**

Obawiam się, że może pojawić się taka pokusa i u innych. Ten elektorat jest wart zabiegów.

Byłem niedawno z synem na meczu Legii Warszawa z Borussią Dortmund. Los sprawił, że nasze miejsca znajdowały się wśród kibiców Dortmundu. Byłem okrażony przez Niemców i w dodatku miałem całą Polskę przeciwko sobie (*śmiech*). Polacy skandowali haniebne słowa, a jakaś komisja nazajutrz zastanawiała się, czy była tam mowa o Żydach, czy nie. W dodatku organizatorzy zasugerowali nam, żebyśmy dla własnego bezpieczeństwa opuścili stadion przed zakończeniem meczu. Po wyjściu ze stadionu kilku osiłków z kijami pytało, czy mówię po niemiecku, a policja stała niedaleko. Przykładów tolerowania takich zachowań mógłbym podać jeszcze wiele. Proszę mi wierzyć, nie idealizuję swojego

kraju, jestem naprawdę bardzo krytyczny w stosunku do wielu zjawisk w Czechach, ale tam nie ma środowisk politycznych czy mediów, dla których tacy ludzie byliby bohaterami, prawdziwymi patriotami.

**JM:**

Może porzućmy już bieżącą politykę i sięgnijmy do historii. W dwudziestolecie międzywojennym nasze kraje miały fatalne relacje, a retoryka antyczeska w polskich i antypolska w czechosłowackich mediach była codziennością. Dzielił nas konflikt o Zaolzie i krótko mówiąc, nie byliśmy dobrymi sąsiadami. Tak samo było w 1938 i – z pewnymi zastrzeżeniami – w 1968 roku. Proszę powiedzieć, czy te historyczne zaszłości odgrywają jeszcze jakąś rolę w dzisiejszych relacjach między Polakami a Czechami, zwłaszcza na tych spornych obszarach?



Podczas spotkania

Foto: Jarosław Zięba

**MK:**

Nie żyję w tych stronach, więc niestety nie wiem, na ile ludzie wciąż tym się przejmują. Mogę na to patrzeć wyłącznie z perspektywy Pragi. Wiem, że na Zaolziu zdarzają się przykre fakty zamalowywania tablic z dwujęzycznymi nazwami miejscowości. Ten brak tolerancji dowodzi, że coś z tej trudnej przeszłości wciąż

jest tu jeszcze żywe. Wystarczy czasem jakieś błahe zdarzenie, niemądre zachowanie i otwierają się stare rany.

Przypomnijmy sobie wypadek kolejowy, który spowodował w Czechach polski kierowca. Oczywiście znaleźli się ludzie, dla których w tym tragicznym wydarzeniu najważniejsza była narodowość kierowcy. Nie pomyśleli o tym, że to zwykła statystyka – po prostu bardzo dużo Polaków jeździ po czeskich drogach. Ale myślę, że to są lokalne historie, w Pradze nie była to głośna sprawa.

Wydaje mi się, że znajomość historii jest w Czechach podobnie nikła jak w innych krajach. Nie sądzę, żeby Czesi pamiętali na co dzień o naszych sporach w 1919, 1939 czy 1968 roku. Zresztą, co do tej ostatniej daty, Polacy naprawdę niepotrzebnie robią sobie wyrzuty. Nie znam Czecha, który obwiniałby za inwazję Polaków. Wiemy, że – podobnie jak my – nie byliście wtedy suwerennym krajem.

**DS:**

Stwierdził Pan kiedyś, że Czesi są narodem, który nie emocjonuje się historią. Byłaby to jedna z ważniejszych różnic pomiędzy Czechami a Polakami. Wprawdzie u nas też się historii nie zna, ale z pewnością się nią emocjonuje.

Proszę powiedzieć, jak ocenia Pan historię naszych relacji po 1989 roku? Które wydarzenia Pana zdaniem najbardziej na nie wpłynęły?

**MK:**

To jest arcytrudne pytanie. Nie wiem. A może powinienem powiedzieć, że żadne. Mimo że jestem komentatorem politycznym, nie mogę sobie przypomnieć, które wydarzenie z najnowszej historii Polski było dla Czechów ważne. Można by odwrócić to pytanie: a które czeskie wydarzenie było ważne dla Polaków? Jestem prawie pewien, że Polak też będzie miał z tym kłopot.

Z pewnością wrażenie na Czechach zrobiła katastrofa smoleńska. Inne fakty, na przykład palenie kukły Wałęsy, lustracja przeprowadzona przez Antoniego Macierewicza czy zwycięstwo postkomunistów w wyborach parlamentarnych były ważne dla elit, ale przeciętny Czech z pewnością się tym nie interesował. Wydaje mi się, że miałby on nawet kłopot z przypomnieniem sobie daty upadku muru berlińskiego. Prędzej będzie pamiętał o porzucanych w Pradze trabantach.

**DS:**

Mam wrażenie, że my, mieszkańcy Europy Środkowej chętniej przyglądamy się Zachodowi niż sąsiadom. Mało wiemy nie tylko o naszej polityce czy historii, ale także o kulturze: literaturze, filmie, muzyce. Jakby to, co najbliższe, było najmniej interesujące.

**MK:**

Myślę, że to normalne. W czasach komunistycznych byliśmy sztucznie odcięci od świata Zachodu, nie mieliśmy dostępu do niektórych faktów, utworów literackich, filmów. Z drugiej strony narzucano nam kulturę tak zwanych „bratnich narodów”, zwłaszcza radzieckich. Kiedy świat się dla nas otworzył, zachłysnęliśmy się nim. Ten czas powoli mija i może bardziej zainteresujemy się sobą. Ważną rolę mogą tu odegrać wszelkie pozarządowe inicjatywy, choćby ta, w której bierzemy udział.

**JM:**

Powiedział Pan, że historia Czechów nie interesuje. Z pewnością jednak uczestniczą w życiu kulturalnym. Proszę powiedzieć, czy Czesi są w jakimkolwiek stopniu zainteresowani polską kulturą? Czy jest ona obecna w świadomości przeciętnego człowieka?

**MK:**

Wstyd mi, ale jestem przekonany, że to Polacy bardziej interesują się kulturą czeską niż my polską. Czesi ulegają tu chyba jakiemuś stereotypowi i nie myślą, że wasza kultura mogłaby być dla nich atrakcyjna. Ale jest też kwestia promocji polskiej kultury w Czechach. Niektóre propozycje, choć może same w sobie świetne, nie trafiają w gust czeskiego odbiorcy. Niedawno wyświetlano u nas film „Quo vadis?” Czech zupełnie nie rozumiał, o co tam chodzi. Filmy historyczne nie są u nas zbyt popularne. Chyba że są robione tak, jak ostatni film Petra Zelenki „Zagubieni w Monachium”, z dużą dozą ironii.



Mirosław Karas

Foto: Jarosław Zięba

Czesi mają zupełnie inne podejście do historii niż Polacy, nie traktują jej tak patetycznie. Václav Marhoul nakręcił w 2008 roku film „Tobruk”, nagrodzony nawet Czeskim Lwem. Byłem na jego premierze w Ministerstwie Obrony Narodowej w Warszawie i obecni tam polscy oficerowie byli oburzeni, jak można pokazywać żołnierzy w nieprzystojnych sytuacjach czy też żołnierzy, którzy się boją. Czesi nie mają problemu z ironicznym ukazywaniem swojej historii, może także dlatego, że naszym bohaterem jest Szwejk.

**JM:**

Pana zdaniem żaden polski pisarz, żaden polski reżyser nie wszedł do masowej świadomości czeskiej? Nawet Wajda?

**MK:**

To oczywiście nazwisko najbardziej znane wśród elity kulturalnej Czech. Na marginesie muszę z żalem powiedzieć, że w czeskiej telewizji publicznej, w przeciwieństwie do polskiej, śmierć Andrzeja Wajdy była informacją najważniejszą.

**DS:**

Na zakończenie powróćmy jeszcze do bieżących wydarzeń. Jaki jest według Pana stosunek przeciętnych Czechów do uchodźców? Czy inny niż Polaków?

**MK:**

Mówimy o uchodźcach, których jest w Czechach kilkunastu, a w Polsce pewnie niewiele więcej. Wiadomo, że nasze kraje nie są dla nich państwami docelowymi. Praga i Warszawa mają tu podobne podejście, choć muszę powiedzieć, że nie zgadzam się z moim prezydentem, który chce ich wysłać na jakąś grecką wyspę. Oba kraje popełniły ten sam błąd. Mogły zachować trochę zimniejszą głowę i bardziej się tą sprawą przejąć. Bo przecież mówimy o państwach, z których w trudnych czasach wyemigrowały miliony obywateli, a Zachód ich przyjął. W obu krajach zabrakło mi zdystansowania się władz do populistycznych, wrogich uchodźcom głosów. Może warto było zadeklarować chęć przyjęcia ich, powołując się na podobne doświadczenie? Myślę, że akurat naszym krajom nie wypadało tak reagować. Chodzi o formę. Zabrakło tu klasy.

Wiele miesięcy spędziłem ostatnio w Doniecku, a wcześniej w Syrii. Widziałem bardzo dużo śmierci i widziałem setki tysięcy uchodźców. I myślę, że moje doświadczenie każe mi z większym współczuciem patrzeć na tę kwestię. Rozumiem tych, którzy się

boją, ale jestem przekonany, że nasze społeczeństwa poradziłyby sobie z przyjęciem uchodźców, tak jak poradziły sobie inne kraje.

**JM:**

Myślę, że polscy politycy świetnie wyczuli obecne w naszym społeczeństwie ogromne lęki i zamknięcie na obce kultury. Czy Czesi też są tak zamkniętym społeczeństwem? Czy głos czeskich polityków współbrzmiał z głosem opinii publicznej?

**MK:**

Myślę, że w obu naszych krajach głos polityków był bardziej radykalny, niż głos społeczeństwa. W latach 90., zwłaszcza w Pradze, w której mieszkało około 30 tysięcy Amerykanów, Czesi na co dzień stykali się z wielokulturowością. Czeski handel nie poradziłby sobie dziś bez Wietnamczyków i myślę, że Czesi to rozumieją. W Polsce obcokrajowców nie było aż tylu, stąd może biorą się większe lęki.

Sprawcami tej niechęci są środowiska, które straszą obywateli. Każdy ma prawo się bać, ale pamiętajmy też, że obraz obcokrajowca budują przede wszystkim media, które przecież karmią się sensacją, nie normalnością. Większość z nas nie zetknęła się przecież bezpośrednio z przemocą obcokrajowców. A ja widziałem, przed czym oni uciekają.

*Opracowanie: Jerzy Marek*

*O spotkaniu na stronie [www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy](http://www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy):*

*– Zobaczmy, jak widzą nas Czesi... (relacja)*



## Polskie ślady w czeskiej piosence – gawęda w formie audycji radiowej

Teresa Drozda



Zacząć powinnam chyba od piosenki Jaromíra Nohavicy... I tak będzie, ale najpierw kilka słów o nim samym. Nohavica od 1978 roku mieszkał w Czeskim Cieszynie, czyli na samiułtkiej polsko-czeskiej granicy. Do 1983 roku pracował w bibliotece, w której były dwa katalogi – polski i czeski (mieści się ona w czesko-polskim teatrze). Z obu starał się korzystać. Dlaczego katalogi były dwa? Historyczne zawirowania sprawiły, że na tym pograniczu, po stronie czeskiej, czyli na tak zwanym Zaolziu żyje bardzo wielu Polaków, którzy po prostu potrzebowali swojej, polskiej biblioteki. W tym czasie zresztą polskie książki i polska prasa były ważne z wielu powodów. Mówimy o okresie tak zwanej normalizacji, kiedy po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 roku, nastąpił długi okres stagnacji w czeskiej i słowackiej kulturze. Wprowadzono także wiele ograniczeń wolności słowa. Dzięki polskiej prasie, zwłaszcza „Tygodnikowi Powszechnemu”, „Kulturze”, Nohavica mógł czytać o sprawach, o których nie dowiedziałby się z czeskiego radia czy telewizji. Dlatego też wielokrotnie podkreślał, że dostęp do nich był dla niego szalenie ważny.

W 1993 roku Nohavica poznał Renatę Pulzlacher, która zaczęła przekładać jego piosenki na język polski, a w 1994 roku po raz pierwszy zaśpiewał po polsku. Było to na koncercie w Szczecinie, dokąd zaprosił go ówczesny attaché kulturalny – szef działającego w tym mieście do 1997 roku Czeskiego Centrum. Był to pierwszy tak daleki wyjazd koncertowy Nohavicy do Polski. W małej piwniczce

przynależącej do Teatru Polskiego zaśpiewał wówczas dla polskiej publiczności „Gwiazdę”.

["Gwiazda" \(„Hvězda”\) na portalu YouTube](#)

Tą właśnie piosenką wykonaną po polsku podkreślił też związek z naszym krajem, a nawet można powiedzieć, że złożył swoisty hołd swoim polskim słuchaczom, kiedy zaśpiewał ją w 2006 roku na płycie „Doma”. Było to jego pierwsze DVD nagrane w wielkiej hali w Ostrawie, „Gwiazda” była jedyną piosenką na tym wielkim czeskim koncercie wykonaną w języku polskim.



Teresa Drozda

Foto: Jarostaw Zięba

Wiedzą Państwo jednak oczywiście, że własnych piosenek tłumaczonych na język polski Nohavica śpiewa znacznie więcej. Jest w tej chwili jedynym chyba czeskim artystą, którego utwory po polsku śpiewają także inni wykonawcy. Powstały też spektakle – w Warszawie i Katowicach – oparte na teksach Nohavicy. Zwłaszcza katowickie przedstawienie, zatytułowane „Kometa, czyli ten okrutny wiek XX według Nohavicy”, było doskonałe. Mamy także płytę „Świat według Nohavicy” przygotowaną przez Antoniego Murackiego, który tłumaczył większość tekstów zamieszczonych tam piosenek. Dowodzi to wielkiej popularności

tego artysty w Polsce, ale od pewnego czasu obserwuję, iż to uwielbienie dla Nohavicy jest zupełnie bezkrytyczne, a jego fani poprzestają wyłącznie na znajomości tych utworów, nie interesując się zupełnie innymi czeskimi wykonawcami. A tymczasem sam Nohavica śpiewał w duetach z wieloma piosenkarzami. Moja droga poznawania czeskiej piosenki prowadziła właśnie tym tropem.

Nohavica doprowadził mnie przede wszystkim do Karela Kryla, choć to Kryl był wcześniej niezwykle znanym także w Polsce pieśniarzem. A autor „Komety” podkreśla, że uważa go za kogoś w rodzaju swego duchowego nauczyciela. W latach 80. piosenki Kryla tłumaczyli m.in. Maryna Miklaszewska i Jan Krzysztof Kelus, a po polsku śpiewali je choćby Antonina Krzysztoń i Jacek Kleyff. Więcej nawet – tłumaczenia swoich piosenek śpiewał sam Kryl. Na początku 2014 roku w Czechach ukazał się dwupłytowy album zatytułowany „Solidarita”, będący zapisem koncertu Kryla zorganizowanego w Monachium w styczniu 1982 roku, w ramach solidarności z Polską, w której miesiąc wcześniej wprowadzono stan wojenny. Koncert jest niezwykle, bo Kryl śpiewa i prowadzi konferansjerkę w trzech językach. Śpiewa też w trzech: po czesku, po niemiecku i po polsku. Gdy się dobrze wsłuchać w śpiew Kryla, można dojść do wniosku, że brzmi on po polsku nawet lepiej niż Nohavica.

[„Pasážová revolta” \(„Nasze pokolenie”\) na portalu YouTube](#)

Nagranie, które państwo usłyszeli, pochodzi z 1989 roku, z legendarnego koncertu we Wrocławiu. Nawiasem mówiąc podczas tego koncertu śpiewał po raz pierwszy w Polsce Jaromír Nohavica. A teraz posłuchajmy jeszcze Kryla po polsku – śpiewa Antonina Krzysztoń.

[„Mila” \(„Lásko!”\) na portalu YouTube](#)

Warto byłoby może na powrót zainteresować polską publiczność twórczością tego artysty, młodszemu pokoleniu jest on chyba zupełnie nieznany.

Jednak czeskie piosenki śpiewane po polsku to rzadkość. Dużo więcej jest polskich piosenek po czesku. Trudno chyba określić jednoznacznie, jakie są tego przyczyny, choć pytałam o to wielu twórców. Czesi w ogóle chętnie przekładają na swój język zagraniczne piosenki i śpiewają je. I nie są to wyłącznie, jak u nas, utwory o wysokim poziomie artystycznym (jak na przykład Leonarda Cohena, Jacques'a Brela, Bułata Okudźawy), ale piosenki popularne. Nohavica, który jako bardzo młody człowiek zaczął zarabiać na życie piórem, wspominał, że przekładał na czeski różne piosenki, na potrzeby ostrawskiego radia. Niekoniecznie zresztą chodziło wtedy o wierne tłumaczenie, na przykład bardzo popularną piosenkę „*Lásko voníš deštěm*”, właściwie napisał po czesku nie znając słów oryginału. Natomiast pierwszy utwór, który napisał po czesku – to piosenka „Mini czy Maxi” Karin Stanek z jej muzyką i słowami Andrzeja Wójcika. Sporo było takich przypadków. W roku 1966 wydana zostaje debiutancka płyta Hany Hegerovej zatytułowana „Šansony”. Znalazł się na niej utwór będący przekładem znanej bardzo i u nas piosenki Ewy Demarczyk do słów Mirona Białoszewskiego „Karuzela z madonnami”. Oryginału nie trzeba chyba przypominać. Czeska aranżacja jest bardzo podobna do wersji polskiej, tak zresztą zdarzało się bardzo często.

„Madony na kolotoči” („Karuzela z madonnami”)  
na portalu YouTube

Ciekawostką jest natomiast, że płyta Ewy Demarczyk ukazała się dopiero w 1967 roku, a zatem później niż płyta Hegerovej! Hana Hegerová, dziś już mocno starsza pani, urodzona w 1931 – w 2010 roku wydała genialną płytę „Młyńskie koło w sercu mym”, na której śpiewa – po czesku oczywiście – piosenki francuskie. Nazywana

była słowiańską Edit Piaf. Do niej także zaprowadził mnie Jaromír Nohavica, ponieważ przełożył dla niej jedną z piosenek na tej płycie – i tak, po nitce do kłębka, szłam za nim i słuchałam kolejnych płyt Hegerovej. Zresztą koleje jej życia są bardzo ciekawe, to jednak materiał na osobną, zupełnie inną opowieść. W każdym razie, gdy trafiłam na „Madony na kolotoči”, zaczęłam szukać kolejnych czeskich artystów śpiewających polskie piosenki.



Podczas spotkania

Foto: Jarosław Zięba

W ten sposób znalazłam inną znaną pieśniarkę, pochodzącą także z Ostrawy, dla której Nohavica pisał czeskie teksty do bardzo znanych melodii to – Marie Rottrová, urodzona w 1941 roku – dodam, że do dziś występuje, można ją zaprosić tu do Bielska i zapewniam Państwa, że będzie to dobry koncert. Do jej największych przebojów należą czeskie tłumaczenia polskich piosenek z tekstami Agnieszki Osieckiej, które śpiewała u nas Maryla Rodowicz. Wśród nich są na przykład „Ballada wagonowa” i „Markétka”, czyli „Małgośka”. Zwróćcie państwo uwagę, że znów mamy do czynienia z aranżacją wprost przeniesioną z utworu polskiego do czeskiego. Zabawne, że kiedy ostatnio rozmawiałam z bardzo ciekawym czeskim reżyserem, Jakubem Kroftą, który jest we Wrocławiu dyrektorem Teatru Lalkowego, opowiedziałam

mu o tych czeskich–polskich piosenkach. Był bardzo zdziwiony, bowiem zawsze uważał, że to są oryginalne, czeskie przeboje...

„Markétka” („Małgoška”) na portalu YouTube

Jeśli weźmiecie Państwo do ręki dowolną składankę Rottrovej, z całą pewnością znajdziecie tam właśnie „Markétkę”, ponieważ był to jeden z jej największych przebojów. Sporo piosenek do tekstów Agnieszki Osieckiej śpiewanych właśnie przez Marylę Rodowicz zostało przełożonych na czeski: „Sing, sing”, „Kolęda z pretensjami”, „Niech żyje bal”...

Skoro została tu przywołana Maryla – muszę jeszcze państwu opowiedzieć o tym, że dla niej właśnie czescy autorzy i kompozytorzy napisali nowe piosenki i ona je po czesku nagrała – płyta „Maryla Rodoviczová” ukazała się w 1972 roku. Znalazły się na niej utwory śpiewane po polsku, czesku i angielsku. Propozycja nagrania tej płyty wyszła od Supraphonu (czeski odpowiednik Polskich Nagrań). Nagranie, którego posłuchamy – to piosenka z repertuaru Marty Kubišovej... Na pewno od razu pojawiają się tu historyczne skojarzenia: „Modlitba pro Martu” Kubišovej stała się przecież hymnem praskiej wiosny. Maryla piosenkę Kubišovej, o której tu mowa, nagrała w 1972 roku, a zatem trwała już wówczas w Czechosłowacji normalizacja, Kubišová objęta była zakazem występowania. Aby utrzymać się przy życiu – jak pisał Mariusz Szczygieł – robi lalecзки, o śpiewaniu nie ma mowy... W pierwszej chwili, gdy zdałam sobie z tego sprawę, pomyślałam, że albo to jest straszne świństwo, albo Maryla nie wiedziała, dokładnie jaka jest sytuacja. Kiedy jednak ostatnio o tym rozmawiałam, pojawiła się sugestia, że cała sytuacja mogła być zaplanowana. Maryla celowo śpiewała piosenkę z repertuaru Kubišovej, gdyż mogła ona, za pośrednictwem autorów tej wersji otrzymać tantiemy, byłby to zatem sposób, by jej pomóc. Jak było naprawdę – nie wiem, może uda mi się kiedyś zapytać o to Marylę Rodowicz. W każdym razie

trochę inaczej spojrzalam na tę sytuację. Była to piosenka „Ginny, Ginny”:

„Ginny, Ginny” na portalu YouTube

Kolejna piosenka z repertuaru Maryli Rodowicz, która była znana w Czechosłowacji to „Kolęda z pretensjami” (tekst Agnieszki Osieckiej i muzyka Marka Stefankiewicza). Zaśpiewana oczywiście po czesku, przez Hanę Zagorová, stała się jedną z najważniejszych piosenek aksamitnej rewolucji w 1989 roku w Czechosłowacji. W Polsce piosenka ukazała się w 1987 roku, w Czechach w 1990, ale śpiewana była wcześniej, począwszy od wykonania na *Václavském náměstí*, potem na wiecach i towarzyszących im koncertach. Na dwudziestopięciolecie aksamitnej rewolucji ukazała się bardzo ciekawa płyta z piosenkami z tamtego czasu, znalazł się tam również ten utwór. W wersji czeskiej nosi on tytuł „Beránek”, czyli baranek, co może być nawiązaniem do ofiary – boskich zabaw? Albo do kozła ofiarnego. Posłuchajmy:

„Beránek” („Kolęda z pretensjami”)  
na portalu YouTube

Hana Zagorová, rocznik 1946, nadal, tak jak Vondračková i jak Maryla Rodowicz – śpiewa, koncertuje, nagrywa płyty.

O ile ta swoista wymiana kulturalna nie dziwi jakoś specjalnie w czasach słusznie minionych, o tyle nie wyobrażają sobie państwo, jak bardzo się zdziwiłam, kiedy na wydanych współcześnie płytach czeskich artystów znalazłam zaśpiewane po czesku polskie piosenki. Prym wiecie tu Renata Drössler, ale uczciwie trzeba powiedzieć, że artystka ma polskie korzenie. Urodziła się na Zaolziu, w Trzyńcu, w polskiej rodzinie. Od kilkunastu lat w praskim teatrze na Palmovce występuje jako Marlena Dietrich w spektaklu „Edith i Marlene”, uczy też w praskim konserwatorium.



Wzorami dla niej są, oprócz Dietrich, również Ewa Demarczyk i Hana Hegerová. Renata Drössler wydała kilka lat temu podwójny album „Znovuzrozená”. Znalazło się tu kilka polskich piosenek, ale też na przykład dwie kompozycje Chopina, jedna z polskim i jedna z czeskim tekstem. Jest rewelacyjna „Rebeka” – polskie tango ze słowami Andrzeja Własta i muzyką Zygmunta Białostockiego. Są też piosenki z repertuaru Krystyny Prońko, bardzo znana u nas „Jaka róża, taki cierń” z repertuaru Edyty Geppert. Posłuchajmy „Rebeki” po czesku w wykonaniu Renaty Drössler

[„Rebeka” na portalu YouTube](#)

Byłam na koncercie Renaty Drössler, to atrakcyjna kobieta, ma świetnego pianistę, jest dobrą aktorką i znakomicie śpiewa – bardzo dobrze się tego słucha. Warto byłoby zorganizować jej koncert w Polsce, zwłaszcza że z łatwością nawiązałyby kontakt z publicznością – mówi przecież po polsku, śpiewa w kilku językach, a gwarantuje także wysoki poziom artystyczny.



Teresa Drozda podczas Festiwalu Kultury Czeskiej

Polska jest cztery razy większa od Czech – u nich żyje 10 milionów ludzi, u nas prawie 40, myślę więc, że z tego powodu czescy artyści próbują jakoś zaistnieć na naszym rynku. Być może

też dlatego, że polski jest dla nich tak samo bliski i egzotyczny jednocześnie, jak dla nas czeski – umieszczają na swoich płytach piosenki po polsku. Wśród nich jest dość znana w Czechach, ale mam nadzieję, że i w Polsce songwriterka Radůza, która na swojej trzeciej solowej płycie z 2005 roku zatytułowanej „V hoře”, czyli ‘w górze’ – polskie słowa wplotła do kilku piosenek. Między innymi do tej:

[„Papierosy” na portalu YouTube](#)

I jeszcze ta:

[„Verbují chlapce” na portalu YouTube](#)

Pierwsza z tych piosenek została nagrana w 2005, ale kolejna, ta gdzie mowa o Janie III Sobieskim, to już rok 2015. Widać więc, że polskie wątki pojawiają się w jej twórczości stale, mimo że ona sama nie ma nic wspólnego z naszym krajem. Znakomicie mówi po polsku, rozmawiałam z nią po jednym z koncertów – bez żadnego przygotowania udzieliła mi 30-minutowego wywiadu w naszym języku. Świetna jest jej nowa płyta: „Marathon, příběh běžce”, opowiada o wielkich bitwach w dziejach świata, wielkich wydarzeniach, od Maratonu po wygnanie Niemców sudeckich. Są to zatem trudne i ważne tematy. Polecam szczerze państwu tę artystkę, jest naprawdę warta uwagi. Radůza swoje pierwsze płyty wydawała w niezależnej brneńskiej wytwórni fonograficznej „Indies Records”, która ma spore zasługi w promowaniu czesko-polskich artystów.

Także w „Indies Records” wydała swoje pierwsze płyty młoda artystka, poszukująca dopiero własnej publiczności – Beata Bocek. Beata ma polskie korzenie i na swoich płytach śpiewa po polsku,

choć ja bym ten język nazwała „polskim umownym”. Beata mówi „po naszymu”, jak się mawia na Śląsku. Proszę zresztą posłuchać:

„Co jo tam bedym robić” na portalu YouTube

Można czasem odnieść wrażenie, że składnia jej języka jest nieco uproszczona, jakby dziecięca, w tej akurat piosence zupełnie to nie razi – są jednak inne, w których mnie przynajmniej te błędy w polszczyźnie już drażnią. Na przykład w jednym z utworów śpiewa – „dziękuję że jesteś, dziękuję, że *przyszłeś...*”. Nie zmienia to faktu, że Beata Bocek jest świetną piosenkarką, także wartą polecenia.

Najbardziej niesamowitym w ostatnich latach przykładem przenoszenia polskiej kultury do Czech jest duet Tara Fuki, grający muzykę z pogranicza folku, world music i avant-pop. Zespół powstał w Brnie w roku 2000. Członkiniami Tara Fuki są dwie czeskie wiolonczelistki polskiego pochodzenia, Andrea Konstankiewicz (ur. 1972; obecnie Konstankiewicz-Nazir) i Dorota Blahutová (ur. 1975; obecnie Barová).

Pierwsza ich płyta, „Piosenki do snu”, charakteryzowała się tym, że jedyne używane tam instrumentami były wiolonczele, zaś wszystkie piosenki zostały zaśpiewane w języku polskim. W trzech utworach: „Piosenka”, „Widzę, widzę”, „Kołysanka” wykorzystane zostały teksty Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Tara Fuki otrzymały w 2001 nagrody czeskiej Akademii Muzycznej w kategoriach „Muzyka alternatywna – world music” oraz „Odkrycie roku”. Druga płyta „Kapka”, zawierała teksty w języku czeskim, francuskim i polskim. Kolejna – „Auris” była ponownie w całości wypełniona polskimi tekstami, tym razem zespół zaprosił gościnnie muzyków, którzy grali między innymi na pianinie i tabli. W listopadzie 2014 roku ukazała się piąta płyta zespołu, na której znów znaleźć można polskie i czeskie piosenki, przy czym niektóre z nich dziewczyny napisały same, ale – podobnie jak na

wcześniejszych płytach – posłużyły się też wierszami Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, do których skomponowały muzykę.

Spotkałam się z dziewczynami z zespołu Tara Fuki i zapytałam je, dlaczego właściwie śpiewają po polsku. Odpowiedziały:

– Czasem próbujemy napisać piosenkę po czesku, ale po kilku próbach wracamy znów do języka polskiego. Po prostu w tym języku nam się lepiej śpiewa. Jest bardziej melodyjny. Czechom podoba się język polski, zresztą wydaje się, że on jest językiem wiolonczeli, bardzo dobrze pasuje do tego instrumentu. Publiczność może też użyć fantazji – trochę rozumie, a reszty musi się domyślać. To rodzi pewną specyficzną sytuację – słuchacz musi być bardziej aktywny, staje się uczestnikiem tego, co się dzieje.

Andrea, mimo polskich korzeni, nie mówi po polsku. Dorota z kolei mówi bardzo dobrze, pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego. Jest wziętą instrumentalistką. Razem koncertują rzadko, ponieważ Andrea mieszka we Francji. W 2017 roku w Polsce planowany jest ich koncert w Lublinie. Tara Fuki, jak powiedziałam, wydały w czeskiej wytwórni fonograficznej pięć płyt, działają od 2000 roku, a w Polsce wystąpiły raptem kilka razy.

Wracając do kwestii używania języka polskiego przez czeskich artystów, wrócić można ponownie do Jaromíra Nohavicy, który podobnie mówi o swojej popularności w Polsce – że ta tajemnica, która mimo pozornego rozumienia jego tekstów śpiewanych po czesku w piosenkach pozostaje, dodaje mu w naszych oczach znaczenia.

Przywołam jeszcze może anegdotę, którą usłyszałam od dziewczyn z zespołu Tara Fuki. Dorota mówiła o piosence „Dopis” – czyli ‘list’. To jedna z nielicznych piosenek, której pierwotny tekst napisany był po czesku: „Wymyśliłyśmy ją, gdy brakowało nam jeszcze jednej piosenki na płytę. Uznałyśmy, że może dobrze by było, żeby ta jedna była właśnie po czesku. Zaczęłyśmy próbować, ale zupełnie nam nie szło. Nie podobało nam się. No

i przetłumaczyłyśmy ją na polski. Tak powstała polska piosenka z czeskim tytułem”.

„Dopis” na portalu YouTube

Policzyłam, że na pięciu płytach Tara Fuków jest około 80 piosenek – z czego jakieś 75 po polsku... Wśród nich jest na przykład szczególnie utwór słowno-muzyczny do tekstu Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, ale chyba od słów ważniejszy jest w nim nastrój. To raczej utwór bazujący na klimacie – usłyszeć tam można skrzypienia, szumy, deszcze...

Ostatnia płyta zespołu Tara Fuki, z 2014 roku, zatytułowana „Winna” jest naprawdę świetna. Polecam państwu wybrać się na ich koncert – można wtedy obserwować, jak ta muzyka się staje, rozwija, narasta... Muzyki jest coraz więcej, a one dalej są na scenie tylko dwie. Bardzo ciekawe wrażenie.

Drażyłam trochę temat śpiewania po polsku. W Warszawie spotkałam słowackiego reżysera, aktora i dramaturga Igora Šebo, który mieszka i pracuje w Pradze. Od czasu do czasu występuje też w Polsce. Jego komedia zatytułowana „Pomalu, a jeszcze raz!”, wystawiona w Teatrze Rozrywki w 2006 roku, cieszy się niesłabnącym powodzeniem publiczności. Spektakl ten wciąż można oglądać na deskach Teatru Capitol w Warszawie, gdzie Igor Šebo i Robert Talarczyk wymiennie z Krzysztofem Tyńcem partnerują Oldze Bończyk i Hannie Śleszyńskiej. Reżyser często przyjeżdża do Polski, trochę więc język zna i czuje. Zresztą pojawia się tu i wątek bielski: specjalnie dla Roberta Talarczyka i siebie napisał sztukę „Intercity”, która została wystawiona w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej w październiku 2007 r., a przez dwa ostatnie sezony grana była z powodzeniem w Teatrze Rozrywki. Dla Teatru Polskiego w Bielsku-Białej napisał sztukę „Romeo, Julia i czas”.

Zapytałam Igora Šebo, jak śpiewa mu się po polsku, a jak po czesku. Odpowiedział: „Przekonałem się, że trudno jest śpiewać niektóre piosenki po czesku. U nas dominują krótkie głoski. Nie można zaśpiewać, tak jak po polsku: ‘nooooooc’. ‘Noc’ jest krótka. Stąd też może trudności z przekładaniem tych tekstów. Często trzeba zmienić tekst, tak żeby został sens, ale użyć innego wyrazu, który będzie się dało zaśpiewać trochę dłużej”.

Chciałabym wspomnieć o jeszcze jednej artystce, która pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego, występuje pod pseudonimem Krystyna. Ona także śpiewa w kilku językach, między innymi po polsku i w gwarze śląskiej. Ją również zapytałam, dlaczego dla Czechów śpiewa w naszym języku, odparła: „Po prostu najlepiej śpiewa mi się w gwarze śląskiej i po polsku. Po czesku śpiewam, gdy chcę być bardzo dowcipna. Nie czuję się w nim jednak zupełnie swobodna. Słuchaczom podoba się, gdy śpiewam po polsku. Moim własnym językiem jest jednak gwara”.



Teresa Drozda

Foto: Jarosław Zięba

Rozmawiałam też z AGU – młodziutką dziewczyną, która pod koniec 2015 roku wydała w Czechach swoją debiutancką płytę. Ona właściwie najwięcej powiedziała mi na temat różnic pomiędzy językiem polskim i czeskim, o śpiewaniu w tych językach:

„Czesi uwielbiają, gdy śpiewam po polsku. Ten język jest im dużo bliższy niż angielski. Brzmi dla nich trochę egzotycznie, ale nie na tyle, by było to obce. Język polski zresztą jest świetnym językiem do śpiewania. Sam w sobie jest piosenką. Czeski nie. Czeski jest zdecydowanie trudniejszy, ma na przykład akcent na pierwszą sylabę, bardzo trzeba uważać na długie i krótkie samogłoski, ich wymawianiem rządzą dość sztywne zasady, które trzeba zachować. Poza tym – nie jestem Czeską. Wyjść do Czechów z czeskimi piosenkami – na razie się na to nie odważę. Melodie, które mam w sobie, chyba nie bardzo pasują do czeskiego języka. Do dziś mam problem z moją „Ukolébavką”, którą zaśpiewałam w tym języku, ale wiem, że ona nie brzmi tak dokładnie po czesku. Czesi mi to wybaczą, bo jestem Polką i ich rozczuła, że próbuję to zaśpiewać.”

Nieco dłużej niż AGU, bo od 1994 roku działa zespół Kryštof, z którym w 2012 roku Nohavica nagrał jedną piosenkę, ale co ważne, Kryštof też próbował podbijać – bez powodzenia – polski rynek. Kilka piosenek przetłumaczyła im na polski wspomniana już Renata Putzlacher, a panowie nagrali je na swoich płytach. I podkreślmy, że to są ich własne piosenki, tyle że w polskich wersjach językowych. Z Kryštofem występuje czasem Ewa Farna – bo te polskojęzyczne piosenki są śpiewane także w Czechach – czasem w wersji tylko polskiej, czasem w polsko-czeskiej. Jednak w Polsce – jak mówiłam – zespół nie zyskał większej popularności.

Muszę dodać, że jest jeszcze taka piosenka – o tym ciągle przypominam Mariusz Surosz – „Ciągle pada” (Prší krásně). Śpiewa ją Petr Rezek – to jeden z jego największych przebojów, od tej piosenki biorą tytuły jego płyty-składanki. Tych przykładów jest znacznie więcej...

Wróćmy do Nohavicy... Krąg się bowiem zamyka. Najpierw piosenka – żarcik – w której Jarek udowadnia, że języki polski i czeski się rymują. Na koncertach brzmi zdecydowanie lepiej i żywiej, ja mam dla Państwa wersję oficjalną, płytowo-internetową.

„Českopolská virtuálka”

I teraz – już całkiem na zakończenie – polski wiersz, do którego Nohavica skomponował muzykę. To utwór Bolesława Leśmiana, który jest ukochanym polskim poetą Jaromíra Nohavicy. Po latach obcowania z jego poezją i polską kulturą w ogóle – odważył się, jak mi powiedział, napisać muzykę do wybranego przez siebie utworu. Pochodzi on z tomiku *Dziejba leśna* z 1936 roku. Pierwszy raz wykonał go w Polsce na koncercie w 2014 roku. Śpiewał go też ostatnio, a było to tuż po podjęciu przez polski sejm decyzji, że rok 2017 nie będzie jednak Rokiem Leśmiana. W tym kontekście wykonanie tej piosenki zostało przez publiczność odebrane bardzo entuzjastycznie – jako dowód włączenia się Nohavicy w te nasze narodowe dyskusje. Tuż po koncercie otrzymałam kilkadziesiąt maili z pytaniami, co to za wiersz. Nohavica po raz kolejny zapadł głęboko w serca swojej polskiej publiczności.

Opracowanie: Dorota Siwor

*O spotkaniu na stronie [www.Stowarzyszenia Czuli barbarzyńcy](http://www.StowarzyszeniaCzuliBarbarzyńcy.pl):  
– "Trochę egzotycznie, ale nie obco"*